

Planeta Kalgar

MAURICE VAUTHIER

PLANETA KALGAR

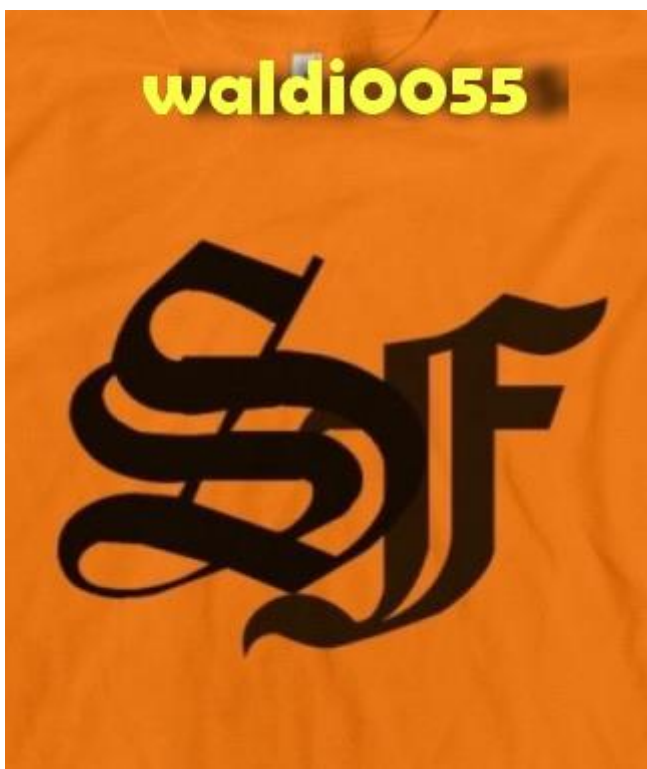
TYTUŁ ORYGINAŁU: LA PLANÈTE KALGAR
PRZEKŁAD: OLGA NOWAKOWSKA

INSTYTUT WYDAWNICZY „NASZA KSIĘGARNIA” WARSZAWA 1971

Planeta Kalgar

*Wszyscy żeglujemy ku jakimś
nie istniejącym wybrzeżom*
PINDAR

*Cudowna właściwość zbudowanego
w marzeniach domu polega na tym,
że chronisz się w nim nie ty, ale
ty sam przeobrażony*
SAINT-EXUPERY



ROZDZIAŁ PIERWSZY ODLOT

Tego dnia, w którym odlecieliśmy na Kalgar, nie mogę wspominać bez dziwnego dreszczu. Było to wczesną wiosną, dokładnie siódmego kwietnia 2084 roku. Upłynęło zatem od tego czasu trzysta dziesięć lat.

Trzysta dziesięć lat! Czy te liczby mają jakiś sens? Czyż nie zdarzyło się to raczej wczoraj? Trzysta lat snu, przebytych w kręgu olśniewającego marzenia! Wspomnienia są tak żywe, barwy tak pełne świeżości... To było wczoraj.

Nazywam się Peter Glowe. Miałem wówczas dwadzieścia cztery lata i ożeniłem się właśnie z Grinje. Zdawało nam się, że jesteśmy w pełni szczęśliwi.

Gdy tylko zacząłem dorastać, maszyny elektronowe w Urzędzie Skierowań do Zawodu zdecydowały za pośrednictwem kart perforowanych, że będę pracownikiem Kosmosu. Zazdrość, jaką z tego powodu okazywali moi rówieśnicy, sprawiła, że uważałem owo skierowanie za wyjątkową życiową szansę. Mówię to bez goryczy. Lubiłem mój zawód i kiedy po długich latach nauki rozpocząłem pracę w Mineralech Gwiazdnych, cieszyłem się z niej szczerze i gorąco.

Po roku radość ta była ciągle żywa: uniesienie z okresu

pierwszych lotów zamieniło się w spokojne, zrównoważone uczucie, które dawało mi niewzruszoną pewność siebie. Eksploatowaliśmy wtedy mały, molibdenowy asteroid w strefie Therbuleya. Moja kolej „wychodzenia w niebo” przypadała dwa razy na miesiąc. Wyprawy te stały się dla mnie wkrótce nie tyle monotonne, co pozbawione niespodzianek. Mimo politycznego napięcia między krajami naszego bloku a państwami Unii Błękitnej układy dotyczące przestrzeni kosmicznej pozwalały nam spokojnie pracować. Doprawdy, nigdy bym nie przypuszczał, że podróż rozpoczęta siódmego kwietnia miała się różnić od innych.

*

Weng Ti wykonał przed chwilą manewr korygujący. Zdaje się, że o mało nie ominęliśmy Ziemi... Bo oto teraz wracamy. Kalgar został daleko w tyle i jedynie za pośrednictwem tej opowieści mogę do niego powrócić.

Źle zniósłem maksymalne przyspieszenie. Myślę, że inni odczuli to podobnie. Od dawna przywykliśmy do pozornej ważkości, którą odtwarzał nam statek, a tu osaczyło nas brutalnie ze wszystkich stron nasze własne, ołowiane ciało... Moje serce szaleje, muszę na jakiś czas przerwać pisanie.

*

Miałem nadzieję, że usłyszę Go w tych dniach. Gdybyż mógł przesłać nam ostatnie orędzie przed naszym powrotem na Ziemię! Oczywiście, to niemożliwe. Ale wolno mi chyba marzyć o cudzie...

Jeszcze sześć dni do chwili lądowania... Manewrowanie statkiem, obliczenia, okresy wypoczynku. W głębi mego ciała, równie dręczący jak nie wymazana z pamięci troska, przychodzi, oddala się, powraca znowu znajomy ucisk niby ciężar głębokiej wody. Chwile te żywo przypominają momenty naszego odlotu —

czasem dziwię się, że nie ma Go pomiędzy nami.

On! Tylko to słowo znalazłem na określenie dwu tak bardzo odmiennych od siebie ludzi. Tak różnych, sądziłem, jak Dobro może się różnić od Zła. Musieli jednak mieć jakąś cechę wspólną, skoro nie potrzebują imienia i prawie nie potrzebują twarzy, aby spalała nas ich obecność. Dwa żywioły.

Teraz kiedy się nad tym zastanawiam, cała sprawa zdaje mi się wynikać z wyroku przeznaczenia: że się spotkali, że walczyli z sobą, że jeden z nich powalił drugiego własnymi rękoma, że pokonał go jak złośliwą bestię. I że to wszystko wydarzyło się na Kalgarze.

Geilendorth, Seburst... Nazwiska te zderzają się w mej pamięci jak brzęczące kule. Potrząsam głową, próbuję naiwnie wypłoszyć je stamtąd...

*

Kiedy powiedział: „Jestem Seburst”, poczułem się jak gdyby spokojniejszy. Był profesorem kilku inżynierów z naszej bazy — Obozu Stones; mówili o nim z tak namiętym podziwem, że budziło to zawsze moje zdumienie. Od nich wiedziałem, że Seburst interesował się żywo nawigacją kosmiczną, co było logicznym następstwem jego prac w dziedzinie astronomii, prac, które przyniosły mu sławę. Powiedzieli mi też, że w ciągu ostatnich miesięcy przychodził często do bazy, dokąd przyciągała go nasza ostatnia Mega-ST.

Ostatnia Mega! Rząd naszego Bloku dokonał istnego cudu, zawierając układ z Unią Błękitną w celu zaprzestania szaleńczych prób żeglugi międzygwiazdnej — głośne katastrofy wykazały w ostatnim ćwierćwieczu jej całkowicie utopijny charakter. Od tego czasu wysiłki obydwu obozów skoncentrowały się na budowie machin typu Proxima, których użyteczność, ograniczona do naszego systemu słonecznego, odpowiadała praktyczniejszym celom.

Owa Mega-ST, ostatni i najbardziej udoskonalony typ

pojazdu międzygwiazdowego, tkwiła w swym podziemnym hangarze Obozu Stones niby symbol tej heroicznej epoki, kiedy człowiek wierzył w możliwość zdobycia gwiazd. Utrzymywano ją troskliwie w należyтым stanie, ale trochę tak, jak gdyby chodziło o muzealny eksponat, a jeśli często o niej mówiono, to z jakimś ogromnym podziwem i żalem. Podobnie postępowali mauretańscy książęta wypędzeni z Granady, którzy z pokolenia na pokolenie przekazywali klucze od swoich na zawsze utraconych pałaców.

A jednak ta właśnie Mega miała nas unieść w przestworza, służyć nam na dalekich szlakach nieba tak bezbłędnie i wiernie, że nie mogę o tym myśleć bez porywu wdzięczności. Czuję, jak zamknięta wokół mnie, drgająca, żywa niby przedłużenie mego ciała, chwieje się niedostrzegalnie, gdy któreś z nas się przesuwa, a potem poddaje się ulegle impulsom stabilizatorów, które przywracają jej właściwą pozycję. Od czasu do czasu maleńki meteor potrąca jej bok, wydając taki dźwięk, jak gdyby drapał ją pazurkami. Rozproszone światło górnych iluminatorów ślizga się po lakierowanych ścianach kabiny, omal nierealne w swoich półcieniach i półblaskach. Z pewnym wysiłkiem przychodzi mi pamiętać, że płynie ono z ziemskiego Słońca poprzez krzemowe płyty okrywające nasz statek.

Jakże daleko jest jeszcze Ziemia! Ta błękitnawa kropelka, którą Weng Ti i Magrini pokazują mi na ekranie wizjera orientacyjnego, stwierdzając z triumfem, że co dzień płonie silniejszym blaskiem. Po cóż mam im przypominać, że to nie jest powrót, ale odkrywanie nowego świata? Ze te ziemie przed nami są bezludne, miasta wymarłe? Że upłynęło przeszło trzysta lat?

Planeta pełna blasku? Aby tak twierdzić, trzeba by zapomnieć o Kalgarze.

*

Zadowolony jestem, że Weng Ti objął dowództwo. Nie mam już głowy do wszystkich tych cyfr, tych przyrządów, tego

wiecznego sprawdzania. Weng zdaje się to rozumieć i powierza mi tylko mało ważne funkcje. Mogę zatem powrócić do mojej opowieści.

Odwiedziłem, tak jak codziennie, kabinę numer cztery, gdzie śpi dziecko z Kalgaru. Uderza mnie zawsze wyraz jego twarzy. Szukam nań określenia... No tak, ta twarz jest promienna. Ile też malec może mieć lat? Sześć? Za wypukłą szybą z pleksiglasu, której refleksy podkreślają jeszcze jego promienny wyraz, spoczywa uśmiechnięty, jakby dopiero przed chwilą zapadł w sen. Automatyczne poruszanie masującego materaca unoszą powolnym rytmem jego ciało, nadając mu pewien rodzaj życia, kryjąc przede mną i ukazując znowu jego twarz. Śledzę z niepokojem te ruchy. Przy każdym wydaje mi się, że oto chłopczyk się budzi, boję się chwili, kiedy napotkam jego pierwsze spojrzenie.

Czy się przestraszy, czy zacznie płakać, czy zdobędzie się na słowa wyrzutów? To dziecko wydaje się tak delikatne, tak mało przystosowane do surowości Ziemi! A właśnie Ziemię chcemy mu ofiarować!

Przed odejściem sprawdzam mechanizmy jego hipotermoru: ciepłota, pulsowanie, wilgotność, wszystko jest w najlepszym porządku. Zamykam po cichu stalowe drzwi, uśmiechając się w duchu z tej niepotrzebnej przezorności. Szczęśliwy jestem, że widziałem go jeszcze śpiącego, że przez kilka dni pozostanie w swym utraconym raju — biedny aniołek wyrwany ze świata gwiazd!

*

Tamten siódmy kwietnia przypadał we czwartek. Poprzedniego dnia przybyłem do Obozu Stones, aby się poddać zwykłym badaniom lekarskim i przestudiować instrukcję dotyczącą lotu. Towarzyszyła mi Grinje, uszczęśliwiona, że może się posłużyć nowiutkim małym wozem marki „seef” poruszającym się na ziemi, po wodzie i w powietrzu. Był ranek — helibusy

zbierały gromadki uczniów, spuszczać na każdym przystanku kabinę wejściową, lśniąca jak olbrzymia łza; potem porywały ją do lotu, gdy tylko wychyłała spośród dachów. Pod nami ożywiały się miasta, zieleniały pola i ogrody wsi. Te obrazy Ziemi były tak pospolite, że z pewnością bym ich nie pamiętał, gdyby nie okazały się ostatnie.

Przy wejściu do obwodu F, dokąd nie wpuszcza się obcych, pożegnałem Grinje, która przykazała mi, abym nie zapomniał przywieźć dla niej „kawałeczka” asteroidu. Obiecałem jej to ze śmiechem.

Resztę dnia wypełniła rutyna zwykłych zajęć. Z przyjemnością spotkałem się z dawnym towarzyszem, Magrinim, z którym mieliśmy nazajutrz utworzyć zespół roboczy. W hotelu nawigatorów, gdzie nasze pokoje sąsiadowały z sobą, pogadaliśmy jeszcze przez chwilę, po czym o przepisowej godzinie poszliśmy grzecznie spać.

*

Zanim zbudziło mnie na dobre gwałtowne stukanie do drzwi, od dłuższej chwili zdawałem sobie sprawę, że na dworze zaczęło już świtać. A jednak nie słyszałem zwykłych sygnałów centralnego ośrodka dyspozycyjnego. Czy była to pora wstawania? Drzwi się otworzyły, ktoś zapalił światło i do pokoju wszedł Woodbury, wicedyrektor Obozu Stones. Za nim wkroczyło kilku inżynierów, Ullmann, Weng Ti, Borg oraz inni jeszcze, nie znani mi z nazwiska. Było ich około dziesięciu, samych młodych, w wieku Woodbury'ego; wchodzili po cichu i stawali za jego plecami.

Byłem jak ogłuszony. To dziwaczne wtargnięcie, te pełne napięcia twarze, to milczenie napawały mnie nieokreślonym lękiem. Umyślnie powstrzymałem się od zadawania pytań, sądząc, że moje aż nadto widoczne zdumienie zmusi przybyszy do wyjaśnień.

— Proszę się ubrać, Glowe — powiedział wreszcie

Woodbury.

Usłuchałem go machinalnie. Niektórzy z moich gości usiedli, inni podnieśli storę i wyglądali przez okno — wstawał szary świt, niepewny ranek, oświetlenie jakby stworzone do popełniania aktów rozpacz.

— Czy zmieniono plan lotów? — nie mogłem się na koniec powstrzymać od pytania.

— Tak, zmieniono go.

— Dzisiaj nie lecę?

— Niedługo dowie się pan wszystkiego.

Ciekawa rzecz! Żaden z tych ludzi nie zwracał na mnie właściwie uwagi. Byłem dla nich jak gdyby statystą w jakiejś sztuce teatralnej i nie raczyli nawet zapoznać mnie z jej treścią. Zdawali się czekać na coś. Albo na kogoś. Od czasu do czasu któryś z nich otwierał drzwi, przechadzał się chwilę po korytarzu, po czym wracał do pokoju.

Włożyłem wierzchni kombinezon i usiadłem na łóżku, usiłując zebrać myśli. Czyżby wchodziła w grę afera szpiegowska? W okresie ostrej rywalizacji między dwiema światowymi potęgami oskarżenie o szpiegostwo na rzecz Unii Błękitnej byłoby czymś niezmiernie groźnym, nawet dla człowieka niewinnego. Podejrzenie, fałszywe świadectwo wystarczały, aby sprowadzić na każdego nieuchronną zgubę.

W tej chwili wszedł do pokoju, eskortowany przez dwu inżynierów, mój kolega Magrini, równie jak ja zdumiony i niespokojny. Polecono mu usiąść obok mnie. Upłynęło jeszcze kilka sekund i nagle — na znak, którego nie zauważyłem — wśród moich dziwnych gości dało się zauważyć wyraźne poruszenie; sprężyli się w postawie na baczność, w której się wy-czuwało nieomal fizyczne oddanie, jakie ludzie miewają dla ukochanego przywódcy albo dla ojczystego sztandaru.

Wszedł jakiś mężczyzna i witał się szybko z obecnymi. Na razie widziałem go tylko od tyłu. Wyprostowany, średniego wzrostu, włosy miał niesforne, rudawobrązowe, przetkane siwymi pasmami. Odwrócił się, usiadł przy stole, na którym

rozłożono jakieś papiery, podparł się na łokciach i zaczął przeglądać notatki, które — jak przypuszczałem — odnosiły się do nas.

Musiał się zbliżyć do pięćdziesiątki; miał zapadniętą twarz ascety, oczyszczoną jak gdyby z wszelkiego tłuszczu, z wszelkiej niepotrzebnej tkanki przez płomień wewnętrznego ognia, wskutek czego zbyt luźna skóra pokrywała potężny kościec szeregim ruchomych fałd, wklęsnięć, wypukłości; przeorana na policzkach dwiema głębokimi bruzdami, napinała się na guzowatym, szerokim czole i wystających skułach; ruda, krzaczasta gęstwina jeżyła się na mocno zarysowanych łukach brwiowych, a niżej sterczał nos jak żebro skalne.

Przybysz skupił się na chwilę, po czym podniósł głowę i szukając wzrokiem naszych oczu, powiedział:

— Jestem Seburst.

Jego spojrzenie wstrząsnęło mną jak cios. Ale teraz mogłem już zrozumieć, na czym polegał dziwny wpływ, którym przykuł do siebie wszystkich tych ludzi. W tym spojrzeniu był płomień, była potęga, było coś więcej niż blask: był rodzaj magnetyzmu, urzekający i drażniący zarazem, który obdarzał całe ciało, a zwłaszcza twarz postarzałego mężczyzny wiecznie młodą siłą człowieka o żelaznej woli.

Kilkoma zdaniemiprawił nasze myśli w istny wir.

— Jak wiecie, w przyszłym miesiącu ma się odbyć próba z promieniami omikron. Twierdzę, że może ona pociągnąć, na skutek reakcji łańcuchowej, wybuch wszystkich zasobów nuklearnych zgromadzonych na obszarze naszej planety. Mówiłem o tym, wołałem nawet ze wszystkich sił. Ale Seburst nie cieszy się łaskami Rządu: drwi się z moich teorii, posądza się mnie o jakieś ukryte odruchy zazdrości. Uczone osły z Biura Atomowego odniosły zatem zwycięstwo: doświadczenie się odbędzie. I całe życie na Ziemi przestanie zapewne istnieć.

Tak więc wraz z grupą moich asystentów postanowiłem zapewnić dalszy byt rodzajowi ludzkiemu. Od przeszło dwudziestu lat obserwuję pewną planetę w konstelacji Ertharite,

gdzie warunki życia są identyczne z naszymi. Spróbujemy dotrzeć do niej na pokładzie Megi-ST. Poza mną w skład załogi wejdą: inżynier Weng Ti, Peter Glowe z żoną oraz Magrini z żoną. Czynności związane z odlotem rozpoczną się za pół godziny.

Wypowiedziałem pierwszą obiekcję, która mi przyszła na myśl, ale natychmiast zdałem sobie sprawę, jak bardzo naiwnie zabrzmiały moje słowa.

— Mega-ST nie ma paliwa.

— Przeciwnie, paliwa ma pod dostatkiem.

Zdenerwował mnie jego uśmiech, ale odzyskałem mimo wszystko przytomność umysłu.

— Dlaczego ja? Dlaczego Magrini?

— Małżonkowie Glowe i małżonkowie Magrini zostali wybrani ze względu na doskonały stan fizyczny.

— Grinje! A więc chce pan narazić kobietę...

— Pańska żona o wiele lepiej rozumie te sprawy od pana.

— Gdzie ona jest?

— Spędziła noc w Obozie Stones.

— A jeśli odmówimy?

Rozległ się grzmiący wybuch śmiechu.

— Polecicie i tak!

— Nie wierzę w pańską katastrofę atomową! A wszelkie próby dalekich lotów kosmicznych zawiodły na całej linii. Wie pan o tym lepiej niż ktokolwiek bądź. Nie ma pan prawa...

Seburst przerwał mi w pół słowa. Zaczerwienił się, a w jego wlepionych we mnie oczach płonął intensywny blask.

— Proszę mnie posłuchać, Glowe. Działamy bez wiedzy Rządu; ściślej biorąc, wbrew jego nakazom. Moi asystenci siłą zapewnią sobie kontrolę nad sektorem osiemnastym Obozu aż do chwili naszego odlotu, który nastąpi około godziny drugiej po południu! Wszyscy oni zostaną ukarani śmiercią. I wiedzą o tym. Nie ma wśród nich ani jednego, który nie zamieniłby z najwyższą radością swego losu na wasz. Jeśli jednak godzą się poświęcić życie, to dlatego, że tak być m u s i. Glowe, Magrini! Daję wam niezwykłą szansę ocalenia, a jednocześnie czeka was zaszczyt

założenia nowej rasy na innej planecie. Wobec takich perspektyw nie liczy się żadne ryzyko!

Magrini zdawał się pogrążony w koszmarnym śnie. Poruszył głową i ramionami, jakby się chciał z niego otrząsnąć, i zapytał z wysiłkiem:

— Czy powrócimy na Ziemię?

Seburst dał do poznania niecierpliwym gestem, że rozmowa trwa stanowczo zbyt długo.

— O szczegółach dowiedzie się w drodze.

Stojący za nim asystenci tworzyli groźną przyboczną straż. Widać było doskonale, że wszelki opór, wszelka dyskusja wydawały się im świętokradztwem. Na znak profesora zbliżyli się nieco. Zauważyłem, że kilku z nich wydobyło miotacze promieni Hinna, które od razu zdołały nas unieruchomić.

*

Dopiero jedenastego dnia od chwili odlotu z Ziemi Seburst wymówił nazwę Kalgar. Przedziwne światło biło z jego twarzy. Wszystkie te dni spędził zamknięty w kabinie obliczeń razem z Azją Wengiem Ti. Magrinię i mnie przywoływał z rzadka, tylko po to, aby wysłuchać raportów o stanie naszych prac. Musieliśmy kontrolować blisko sześćset aparatów rejestrujących, wypisywać mnóstwo notek, robić wykresy. Dość tego było, aby zapełnić cały nasz czas, a także czas Grinje i Yeny, które nam pomagały.

Chociaż od dawna już wokół naszej Megi krążyło tylko olbrzymie kłębowisko gwiazd, wewnątrz statku odpowiednio nastawione zegary utrzymywały niezbędny rytm godzin czuwania i snu.

Jedenastego dnia... Mieliśmy właśnie zasiąść do śniadania. Aby ułatwić nam ruchy, nasze żony ustawiły racje mdłego, niesmacznego pożywienia w strefie najsilniejszej grawitacji; jako wytrawne panie domu nakryły przy tym do stołu z pewną elegancją, z czego, jak zwykle, nie omieszkaliśmy pożartować.

Drzwi się otwarły, weszli Seburst i Weng Ti — w ruchach i na twarzach obydwu malowało się śmiertelne znużenie. Usiedli obok nas i Seburst poprosił o coś do picia. Wydawał się postarzały o kilka lat, jego rysy zaostrzyły się, ciężkie powieki przysłaniały do połowy oczy. Wypił, otrząsnął się podrzuciwszy gwałtownym ruchem ramiona i powiedział:

— Skończone. Wytyczyłem drogę w stronę Kalgaru. Maszyny dokonają reszty.

Mówił znużonym tonem, ale przy słowie „Kalgar” jego głos zawibrował, w oczach błysnął płomień i rozświetlił twarz na ułamek sekundy, jakby ją omiótł promień reflektora.

— Kalgar? — spytałem. — Czyż to nie był cel ekspedycji Geilendortha?

Słyszając to nazwisko, Seburst jak gdyby skurczył się w sobie. Spojrzał na mnie z szczególną irytacją, jakbym go ciężko obraził, i odpowiedział szorstko, akcentując każde słowo:

— Nigdy nie było ekspedycji Geilendortha. Była tylko wyprawa Sebursta, którą Geilendorth usiłował mi ukraść!

Po czym przypomniał nam przebieg tej historii. Był w pełni sił, w pełni sławy, kiedy przed dziesięciu laty powierzono mu dowództwo pierwszej ekspedycji na Kalgar. Ta planeta była po trosze jego osobistą własnością. To on ją odkrył — przez przypadek, w którym widział wyrok przeznaczenia. Długo, cierpliwie wyciągał kolejno na jaw panujące na niej warunki, niezbędne do życia człowieka. Twierdził nawet, że jedna przynajmniej ze słynnych wieści z Kosmosu, przejętych przez radioteleskop w Milligan, pochodziła właśnie z Kalgaru. Wyprawę przygotowano niezwykle starannie, Seburst dysponował nieograniczonym kredytem.

— Byłbym zwyciężył. Ale Geilendorth...

Sposób, w jaki wymawiał to nazwisko, zdradzał nie tylko urazę: w jego głosie brzmiała paląca nienawiść, którą jedynie śmierć może ugasić.

— Geilendorth był młodym, obiecującym naukowcem, którego wybrałem na swego zastępcę, mimo że nie skończył

jeszcze trzydziestu lat. Traktowałem go jak równego sobie. Ufałem mu. Kochałem go... Kochałem tego zdrajcę... Wiedział doskonale, że w ostatnim momencie, na przykład w razie mojej choroby, on zajmie moje miejsce. I wykonał swój haniebny zamiar: w przeddzień odlotu...

Głośny szum motorów, który kołysał nas od chwili opuszczenia Ziemi, urwał się gwałtownie. Przedłużało go tylko, jak niezmiernie odległe echo, nieznaczące wibrowanie żyroskopów. Opanowało nas pełne niepokoju zdumienie. Ale Weng Ti, rzuciwszy okiem na zegarek, powiedział spokojnie: „Wszystko w porządku”, a Seburst podjął opowiadanie urywanymi, cichymi zdaniem, w których tylko pojedyncze słowa brzmiały przytłumionym dźwiękiem jak stukot kul, padających na skórę bębna.

— W przeddzień odlotu Geilendorth zaciągnął mnie do opuszczonego mieszkania, gdzie dwaj mężczyźni przytrzymali mnie siłą, a on własnoręcznie zrobił mi zastrzyk... Był to potężny narkotyk. Geilendorth polecił beze mnie. Ekspedycję nazwano jego imieniem. Wiecie wszyscy, co się z nią stało...

— Największa katastrofa w przestrzeni kosmicznej...

— Tak. Na statku znajdowały się dwadzieścia dwie osoby. Bezcenne materiały nauko-we. Dziesięć lat wysiłków poszło na marne.

— Mówiono o błędzie w obliczeniach...

— Byłem odpowiedzialny za wszystkie obliczenia.

— I za błąd?

— Także.

Z Sebursta opadło już całkowicie znużenie. Mieliśmy znowu przed sobą jego surową twarz i ogniste oczy, słyszeliśmy jego nieustępliwy głos.

— Ten błąd... był błędem dla innych. Dla mnie stanowił tylko zabezpieczenie. Ja nie popełniam błędów... n i g d y. Ale zbyt wiele rywalizacji kłębiło się wokół tej wyprawy. Nie przypuszczałem wprawdzie, że zdrajcą okaże się Geilendorth, ale chciałem się obwarować przeciwko wszelkim kombinacjom i

ambicyjkom: chciałem, żeby nikt nie mógł wyruszyć b e - z e m n i e. Jedno z obliczeń było fałszywe. Celowo. I tylko ja mogłem wykryć błąd. Wystarczyłoby mi w drodze paru chwil, aby doprowadzić wszystko do porządku...

Stało się tak, jak przewidywałem. Po dwóch latach i pięćdziesięciu siedmiu dniach statek przestał nagle nadawać komunikaty radiowe. Rozbił się w paśmie Ballmingera.

— Ależ, Seburst! To była zbrodnia!

— Geilendorth był łotrem, opanowanym szaleńczą ambicją. Tak czy owak doprowadziłby ekspedycję do zguby. To on popełnił zbrodnię.

Milczał przez jakiś czas, a potem, zmieniając ton, powiedział:

— Obejrzeście statek, prawda? Czy nic was nie zadziwiło?

— Owszem. Nie wyzyskane miejsce.

— Słusznie, Magrini. Na dwadzieścia trzy kabiny czternaście jest wolnych. Na osiem ładowni do przechowywania paliwa cztery stoją puste. I ta ostatnia liczba tłumaczy wszystko. Mogliśmy jedynie — i to z szalonym trudem — wystarać się o połowę mniej więcej tersoenu 5, potrzebnego dla motorów. Trzeba więc było ulżyć naszemu statkowi, zrezygnować z całej tej arki Noego, którą pierwsza Mega zabierała w pomieszczeniach o najniższych temperaturach, a także z wielu innych rzeczy, bardziej jeszcze zasadniczych. Mianowicie z napędu odrzutowego. Oznacza to, że...

— Seburst!

— Tak, Magrini. Oznacza to, że musimy się posługiwać siłą przyciągania ciał niebieskich, że będziemy opadać z planety na planetę i że często będziemy zatrzymywać nasze motory. Wyniknie stąd droga niewiarygodnie skomplikowana, niebezpieczna i dłuższa niż... Pierwsza Mega miała zużyć dziesięć lat na dotarcie do Kalgaru. My zużyjemy przeszło trzysta.

Uśmiechał się dziwnie, uśmiechem, który zapierał nam oddech.

— Czy wiecie — zapytał jeszcze — co zawiera kabina numer cztery?

— Jest zamknięta...

— Zawiera sześć hipotermorów pomysłu mego przyjaciela Windleya. Aparaty tego typu nie istniały jeszcze w chwili odlotu Geilendortha. Te, które miał ze sobą, mogły uśpić człowieka na mniej więcej dwadzieścia lat. My zaś będziemy spali trzy wieki.

Seburst wstał. Poruszał się sztywno, źle przystosowany do nieważkości, i w końcu musiał ucześcić się ściany.

— Chodźcie! — rozkazał.

Patrzyłem na moich towarzyszy: smągła Yena i jasnowłosa Grinje wyglądały jak nieszczęsne, zahipnotyzowane przez węża ptaki.

Magrini rzucał mi przerażone spojrzenia. Ale Weng Ti wstał natychmiast w milczeniu i skierował się ulegle w stronę czwartej kabiny.

Co do mnie, to zaczynałem zadawać sobie pytanie, czy Seburst nie jest wariatem.

ROZDZIAŁ DRUGI ŚPIEW PTAKA

Seburst nie był wariatem. Od pięciu dni planeta Kalgar defilowała przed naszymi oczyma. Widzieliśmy, jak się zbliżała niczym olśniewający klejnot, wydając blask niemożliwy prawie do zniesienia po tak głębokich ciemnościach...

Wracały nam siły. Nie mógłbym określić, ile czasu upłynęło od momentu, gdyśmy się obudzili po raz pierwszy. Pamiętam bardzo długi okres zupełnego odrętwienia, z którego wynurzałem się tylko niekiedy w zetknięciu z automatami podającymi jedzenie, które w określonych godzinach podsuwały się do moich ust. Ssałem jak noworodek: najpierw wodę, potem coś w rodzaju syropu.

Grinje i Yena wstały pierwsze. I one to ze słowami podziwu i oczyma pełnymi zachwytu zaprowadziły nas do ekranów obserwacyjnych. Kalgar był jeszcze tylko różową tarczą, kulą ciśniętą między gwiazdy, ale płonął już tak ogniście, taki rozświecał blask, takie barwy, że rozświecał nimi całe niebo.

Kiedy Seburst się do nas przyłączył, widok ten porwał go dosłownie. Profesor trwał w kontemplowaniu planety, wymawiając chwilami, głuchym i drżącym głosem, nazwę „Kalgar”, a potem słowa: „Jakże jest piękny!” W jego oczach błyskały łzy.

Weng Ti powiedział nam, że podczas ubiegłych trzystu lat on i Seburst zostali obudzeni każdy po dwa razy dla sprawdzenia prawidłowości lotu. Objął nas także, iż pod względem fizjologicznym postarzelismy się zaledwie o jeden mniej więcej miesiąc. Istotnie, wskazywał na to zarost, który pokrywał twarze czterech mężczyzn.

Od pięciu dni krążyliśmy wokół Kalgaru, zacieśniając powoli naszą orbitę. Opanowany rosnącym uniesieniem Seburst badał

pierwsze pobrane próbki jonosfery. Widział, jak potwierdzają się jego hipotezy: obecność wodoru, tlenu, azotu... jednym słowem, powietrza... Powietrze! Z jakim wzruszeniem patrzyliśmy na aureolę liliowych oparów, na tę cudowną kroplę atmosfery, zatrzymaną przez niewielkie ciało niebieskie pośród martwych przestrzeni. Powietrze, które pozwoli żyć naszym płucom.

Pod nami biegły morza i kontynenty. W powolnym lśnieniu następowały po sobie, mieszały się i tryskały olbrzymie snopy tęczy barw. Jakże piękna była ta planeta!

Ale im bardziej zbliżaliśmy się do niej, im dokładniej przepatrywaliśmy jej doliny, góry i płaszczyzny, tym jaśniej zdawaliśmy sobie sprawę z jej charakteru... jakby tu powiedzieć? — nieludzkiego. Wszystko wydawało się dziwnie szkliste: bezbrzeżne, zastygłe zwierciadła, stosy kryształów, szmaragdów, topazów. Było to z b y t piękne.

Magrini, robiąc aluzję do nasion, które przywieźliśmy silnie zamrożone, zapytał w końcu szorstko:

— Czy na diamentach dobrze się rodzi pszenica?

Seburst obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem.

— Znalazłem przecież ślady chlorofilu...

— Przed trzystu laty.

— Nie mogłem się pomylić! Musi tam być choćby jedna oaza, jedna dolina, jedno drzewo...

*

Była to wyspa.

Ukazała się nam pewnego wieczoru jak statek żeglujący po nieomal białym morzu. Kształt miała prawie dokładnie kolisty, z głęboką zatoką wciskającą się ku jej środkowi jak klin wbity w rdzeń drzewa. Uryks, słońce Kalgaru, muskał ją z lekka promieniami, dobywając tu i tam ostre błyski z krystalicznych masywów, nieodłącznych widocznie od tej planety. Ale nie mogliśmy już wątpić, czym były te zielone przestrzenie usiane ciemniejszymi plamami, maleńkie, srebrzyste niteczki, białe

obrąbki wokół brzegów. Mieliśmy przed sobą łąki, lasy, rzeki i plaże!

Poprzez nasze przyrządy wpatrywaliśmy się w tę cudowną wyspę, która biegła, odbiegała zbyt szybko, ginąc we mgle i przesyłając nam niby tysiące obietnic ostatnie swoje blaski w szarości wieczoru.

Później dowiedzieliśmy się, że zwano ją Klijena.

*

Upłynęły jeszcze cztery dni, zanim mogliśmy na niej wylądować. Seburst i Weng Ti wybrali jako najdogodniejszy teren olbrzymią plażę w głębi zatoki, tam gdzie ziemia wydawała się najbardziej urodzajna. Przeoraliśmy z hukiem pieniste morze, motory ostatnim pchnięciem wbiły przód naszej Megi we wznoszącą się łagodnie plażę. Stanęliśmy nieruchomo. Minęły jeszcze długie godziny, poświęcone na ostatnie badania próbek atmosfery. Wskazówki napływały, wszystkie cudownie pomyślne: na zewnątrz był dzień, temperatura wynosiła 26 stopni Celsjusza, ciśnienie 860 milibarów, wiał leciutki wiatr.

Seburst dał nam znak — mieliśmy się przygotować do wyjścia.

*

Pamiętam, że poczułem się słabo, w dziwnym zamroczeniu osunąłem się na ziemię, lekko odurzony, jak w tamtym dniu dzieciństwa, kiedy pozwolono mi nieostrożnie wypić czarękę szampana. Pod sobą czułem ciepłe i miękkie leże, lecz nie był to piasek plaży, jak wydawało się z daleka, ale rodzaj mchu, dywan utworzony z gęsto rosnących roślin, bardzo zwarty, który ugiął się nieznacznie pod moim ciężarem. Barwę miał jasnożółtą ze srebrzystymi, koloru wody refleksami i rozciągał się daleko jak okiem sięgnąć.

Podniosłem oczy. Słońce Uryks minęło już zenit; była to

jaskrawozłocista tarcza, przecięta ukośnie dziwaczną, fiołkową obręczą. Niebo... Ono samo mogło przyprawić o zawrót głowy, gdyż podobnie jak morze było w nieustannym ruchu. Zdawało się wypełnione wstęgami przejrzystej gazy, które falowały w podmuchach wiatru. Rozsiewały promienistą światłość, której nasilenie i barwy zmieniały się ciągle. Subtelne odcienie — błękitne, różowe, lila, pomarańczowe — przechodziły niepostrzeżenie jedno w drugie, tworząc przy każdej zmianie nowe, ułudne obrazy.

Odetchnąłem głęboko. Powietrze miało rozkoszną, podniecającą świeżość, pachniało ozonem, kwiatami i żywicą — to ono z pewnością nas odurzało. Bo moi towarzysze, tak samo jak ja, leżeli na ziemi i czuli, że z tego ich zamroczenia rodzi się nigdy nie zaznana błogość, najdoskonalsza szczęśliwość. Na początku tej opowieści napisałem o moim życiu na Ziemi: „Zdawało nam się, że jesteśmy w pełni szczęśliwi”. Teraz, od tej chwili, byliśmy szczęśliwi naprawdę.

*

Gdy tylko udało nam się wstać, ruszyliśmy w drogę. Trzymałem Grinje pod rękę, obok mnie szli Magrini i Yena, która śmiała się bez ustanku. Kroczyliśmy po plaży wznoszącej się stromo jak stok piaszczystej wydmy, ale jakże łatwo było się nam wspinać! Każdy ruch wykonywaliśmy z cudowną swobodą, nasze nogi odbijały się sprężysto od dywanu mchów, który należałoby porównać do naskórka gruntu; zostawialiśmy na nim ślady, znikające po krótkiej chwili. „To śnieg, który odrasta” — mówiła Grinje.

Za nami szedł Seburst, obok niego Azjata Weng Ti. Słuchaliśmy z uśmiechem, jak szuka przyczyn otaczających nas zjawisk, jak określa ściśle, o ile niższa od ziemskiej jest tutejsza siła ciężenia, jak tłumaczy naszą euforię przewagą jonów ujemnych w atmosferze... Cóż nas to mogło obchodzić? Szliśmy szybko, byliśmy szczęśliwi.

Powyżej stromego zbocza zaczynała się plenić roślinność. Oczarowała nas i zdumiała. Były to zarośla, krzewy, a nieco dalej drzewa, które wydawały się istnym mirażem. Diademy, snopy, łuki, tysiące innych jeszcze kształtów, tysiące nieznanych rodzajów materii zachwyciły nas na każdym kroku.

Wszędzie napotykaliliśmy obfitość owoców i kwiatów. Ale jakże zbijało nas z tropu ich piękno! Sądziłyśmy, że widzimy olśniewające pióra ptasie albo skrzydła olbrzymiego motyla, a tymczasem z bliska okazywały się one koroną kwiatu. Tak samo bok egzotycznej ryby albo błyszcząca muszla porcelanki stawały się gronem albo kryjącą owoc łupiną.

Wszystko krzewiło się bujnie, ale nie bezładnie. Można by niemal nazwać ten las angielskim parkiem. Pomiędzy grupami drzew i krzewów biegły ścieżki wysłane tym samym giętkim i czystym mchem, po którym szliśmy od wylądowania na plaży.

Dotarliśmy do polanki, gdzie krzyżowały się ścieżki, i usiedliśmy na jej skraju. Poprzez gałęzie widzieliśmy pagórki porośnięte mnóstwem krzewów i drzew. Nauczyliśmy się później ich nazw — były tam olbrzymie bendrale, wznoszące ku niebu dłoniaste, pobrużdżone liście, agralize o subtelnie rzeźbionych wierzchołkach, złociste seryliery, ozdobione zamiast listowiem bujnymi grzywami jedwabistych włosów.

Siedzieliśmy tak, oczarowani, w różanym cieniu, kiedy zaczęła krążyć nad nami ćma. Była to jakby torebka kwiatowa o kształcie małej amfory, mającej zamiast uchwytów dwa długie skrzydełka, podobne do tych, które unoszą nasiona klonu. Jej wspaniała fiołkowa szata opryskana była po bokach złotymi plamkami. Później widywałem inne ich rodzaje, o wszelkich barwach i wszelkich wymiarach, jedne piękniejsze od drugich.

Tamta ćma posuwała z niedbałym wdziękiem jak niedostatecznie nadmuchany balonik, opadając ku ziemi, trącąc delikatnie gałęzie, unosząc się w górę w podmuchach wiatru, zbliżyła się do nas. Nie śmieliśmy jej dotknąć, nie wiedząc, czy była zwierzęciem, czy rośliną. Yena pierwsza, zachwycona jej pięknym, jedwabistym strojem, pogłaskała ją, przyciągnęła do

siebie. Stworzonko wydawało miły, subtelny zapach, przez jego przezroczysty korpus widziało się jakieś desenie, sieć splątanych linii, dziwne narządy, kruche i skomplikowane, fosforyczne błyski.

Seburst wziął ją do ręki, doszedł do wniosku, że wewnętrzna fermentacja roślinna wytwarza gaz, który zapewnia jej lekkość i zapach. Niestety zgniótł ją niezręcznym ruchem — stała się martwym przedmiotem, nieruchomym, choć ciągle jeszcze pięknym.

Magrini rozglądał się za miejscem, z którego przyleciała, i dojrzał wreszcie drzewo obwieszane podobnymi do niej stworzeniami. Kiedy pobiegł tam i potrząsnął gałęziami, opadły z niego dwie dalsze ćmy.

W tym właśnie momencie, kiedy śledziliśmy ich lot, ukazał się i zaśpiewał ptak.

Był to gil, podobny do wszystkich gilów na świecie. Pod jego ciężarem ugięła się gałązka, a on poprawił się na niej, przykucnąwszy lekko i uniósłszy odrobinę skrzydełka, jak to robi każdy, byle jaki ptak. A potem zaśpiewał i zdawało się, że ten śpiew zburzył coś bezpowrotnie. Słuchaliśmy go jednak, uszczęśliwieni jego namiętnymi trelami, nie myśląc się dziwić. Tylko Seburst zerwał się ze swego miejsca i z wściekłością zamachał rękami. Ptak odleciał.

Seburst odwrócił się do nas. Miał znowu swoją okrutną twarz, maskę, którą nosił na Ziemi. Krzyknął nieomal:

— Ptak!

— Gil — powiedziała Yena.

— Ależ to niemożliwe! Weng Ti, Glowe, czyż nie rozumiecie? Twierdzą, że istniała jedna szansa na milion, aby odkryć planetę mającą warunki odpowiednie dla życia człowieka. Ale nie ma żadnej możliwości, ani jednej na miliard, by materia ożywiona przeszła identyczną jak na Ziemi ewolucję, aby doprowadziła do takich samych form! Błagam was, zastanówcie się chwilę: gil to coś zupełnie niemożliwego!

Uderzyły nas niemile słowa tego człowieka, którego nie

wzruszała przedziwna roślinność, cuda spotykane na każdym kroku, ale który nie mógł się pogodzić ze zwykłym ptakiem. Psuł nam przyjemność, bo polubiliśmy tego gila i żalowaliśmy, że odleciał.

Jednakże, jak się zdawało, Seburst myślał już o czymś innym. Jego spojrzenie przemknęło ponad naszymi głowami, pobiegło wzdłuż ścieżki wspinającej się zboczem góry, z coraz większym napięciem śledząc coś poprzez listowie drzew.

Nigdy nie zapomnę gwałtownej zmiany, jaka zaszła w jego twarzy. Stała się nagle kamienna, upiornie blada, jego rozszerzone oczy, jakby przerażone jakąś potworną wizją, tkwiły w jednym punkcie, którego nie mogliśmy dojrzeć. Grinje, zalękniona, oparła dłoń na moim ramieniu. Nikt z nas nie miał odwagi się odwrócić.

Gdyż poprzez trzaskanie gałęzi usłyszeliśmy, jak ciężko i głucho dudnią jakieś kroki, jak rozlega się jakieś potężne sapanie. Ktoś czy coś szło w naszą stronę.

ROZDZIAŁ TRZECI POWITANIE

Był to jadący konno mały chłopiec. Zdawało się, że nas nie widzi, bo przymykał powieki, chroniąc oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Dopiero gdy znalazł się zupełnie blisko, zauważył nas i zatrzymał wierzchowca, aby się nam przypatrzeć. Jego twarz wyrażała zdziwienie, ale ani cienia strachu. Był po prostu zaintrygowany, tylko tyle. Przybliżył się, aby nas dokładnie obejrzeć, uczynił gest jak gdyby powitania, uśmiechnął się i przerzuciwszy nogę przez szyję konia, zeskoczył na ziemię.

Mógł liczyć mniej więcej jedenaście lat. Miał jasne, wzburzone wiatrem i szybką jazdą włosy, błękitne, podłużnie wykrojone, duże oczy, ciało smukłe, koloru złocistego bursztynu. Ubrany był tylko w krótkie, szkarłatne spodenki, uszyte z grubego ciężkiego jedwabiu, ozdobione na szwach biegnących wzdłuż bioder białą, błyszczącą lamówką, zakończoną na dole mieniącą się egretą.

Przełożywszy wodze do lewej ręki, chłopiec zatrzymywał się przed każdym z nas. Gestem tak naturalnym, że musiał należeć do dawno ustalonego rytuału, dzieciak kładł rękę na sercu, pochylał się nieco i dotykał z lekka naszych ramion. Zauważyłem wówczas na jego szyi rodzaj medalionu, zawieszzonego na jedwabnym sznureczku. Wydawał się zrobiony z kości słoniowej i miał na sobie parę cyfr, delikatnie inkrustowanych złotem. Uśmiechaliśmy się do malca, gdyż był doprawdy uroczy. Powiedział do Grinje: „Jesteś ładna”, a do Wenga Ti: „Jak dziwnie wyglądasz”. I roześmiał się.

Ale śmiech zamarł od razu na jego ustach, bo za Wengiem Ti stał Seburst. A Seburst wyglądał przerażająco. Oczy wyszły mu z orbit, twarz była wykrzywiona i bezkrwista, ciałem wstrząsały gwałtowne drgawki — sprawiał wrażenie szaleńca u progu ataku

furii. Chciał coś powiedzieć, ale z jego ust wyszedł tylko dziwaczny charkot. Wówczas — tak jak to zrobił przepędzając ptaka — zamachał rękoma, wzniosł je w groźnym geście przekleństwa. Chłopiec cofnął się, wskoczył na konia i uciekł spłoszony jak poprzednio ptak. Biegł za nim okrzyk Sebursta:

— Człowiek!

Yena dodała łagodnie:

— Dziecko...

W panice, jak ktoś tonący, Seburst uczeplił się mego ramienia. Urywaniem głosem błagał mnie prawie:

— Głowe, czy rozumiesz, że istota tak ukształtowana jak my musi pochodzić z Ziemi? I mówiąca naszym językiem... A przecież statek Geilendortha rozbił się w paśmie Ballmingera trzysta lat temu! To była jedyna próba osiągnięcia Kalgaru!

— Jedyna przed nami. Ale może po naszym odlocie jakaś o wiele szybsza machina...

— Nie! Po naszym odlocie Ziemia zginęła w katastrofie nuklearnej.

— Któż tego dowiedzie?

— Nie mają prawa! Nikt nie ma prawa! Kalgar jest planetą Sebursta! Sprowadziłem was tutaj, żeby założyć rasę Sebursta. Słuchaj, Głowe...

Jego dłoń ścisnęła brutalnie moje ramię; zadawał mi ból z siłą zadziwiającą u człowieka, który mógł być moim ojcem. Zdumiało mnie również, gdy w nagłym porywie pobiegł w ślad za nieznanym chłopcem, wspinając się szybko po zboczu góry.

Z trudem nadażaliśmy za nim. Dłuższy czas trwający bieg doprowadził nas do szczytu, po czym przemierzyliśmy na przełaj płaskowyż, o rzadszej niż sąsiednie góry roślinności. Tutaj między dwoma krzewami, osypanymi masą pomarańczowego kwiecia, dogoniliśmy Sebursta, który zatrzymał się zdyszany na skraju drogi i wpatrywał się w nią uparcie.

Droga... Jakże inaczej mogliśmy to nazwać? Dziwaczny mech porastający plażę i ścieżki — którego właściwą nazwę: żalma, mieliśmy wkrótce poznać — rozciągał się tu, szeroki jak rzeka,

spływająca po stromiznach, ginąca w głębi dolin, aby się ukazać na ich przeciwległych zboczach.

Ten wspaniały trakt był zarazem linią graniczną. Poza nim widzieliśmy wprawdzie tę samą baśniową roślinność, ale przerzedzoną, tworzącą porządnie utrzymane szpalery i grupy, przy czym mieszały się z nią lub ją zastępowały inne gatunki, które rozpoznawaliśmy z drzeniem serca: płomienne szpady tuż przy ziemi, krzewy usiane różowymi i fiołkowymi plamami to były przecież mieczyki, róże i bzy stojące w pełnym rozkwicie. A tam dalej rysowały się sylwetki drzew, jedne wysmukłe, inne o kształtach olbrzymich grzybów albo wrzecion — „nasze” topole, dęby i cyprysy, zwrócone nam jakimś cudownym sposobem.

Pomiędzy grupami drzew spojrzenie biegło wzdłuż rozległych łąk, gdzie pały się stada koni, ogarniało wzgórze z ich gajami i halami, zanim wzniosłszy się wyżej, nie oparło się na horyzoncie o łańcuch Szkarłatnych Gór.

Góry te wydały mi się jeszcze piękniejsze niż przed paru dniami, gdy oglądaliśmy je spod nieba. Okrywał je płaszcz z czerwonego kwarcu, a na szczycie każdej iglicy, wzdłuż każdego żebra widać było, że skały są przezroczyste jak szkło. O tej godzinie dnia, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, wierzchołki, granie i upłazy tych gór zdawały się walczyć zażarcie z promieniami Uryksa, odpowiadając płomieniem na płomień, blaskiem na blask.

Seburst wpatrywał się w nie długo, po czym jego spojrzenie przesunęło się po wzgórzach, po łąkach, po drodze wystanej żalną u naszych stóp. Wyglądał jak pokonany wojownik, jak dziecko, któremu nagle zrabowano wszystkie jego skarby. Jego mięśnie zwiotczały, osunął się na przymę kamieni, objął z wolna głowę rękami i zakrył sobie twarz. Nie dowiedziałem się nigdy, czy wtedy zapłakał.

*

Kiedy nadjechały dzieci z Klijeny, zaledwie rzucił na nie

okiem. Było ich może czterdzieścioro, galopowały na małych konikach o złocistej sierści. Żalma tłumiła stukot kopyt, pozwalała wierzchowcom dawać wydłużone kroki, upodabniała ich bieg do lotu. Dzieci zbliżyły się ze śmiechem, otoczyły nas zgiełkliwym korowodem. Potem najśmielsze z nich zeskoczyły z koni i zaczęły witać się z nami według obyczaju Klijeny: kładły rękę na sercu, a następnie dotykały nią naszych ramion.

Można by sądzić, że były rodzeństwem, tak wielkie łączyło je podobieństwo. Miały takie same smukłe postacie, tak samo opaloną cerę, tyle samo radości w spojrzeniu i uśmiechu. Ubrane były jak pierwszy spotkany przez nas chłopiec, tyle że ich krótkie spodenki różniły się między sobą kolorem. Na ich piersiach chwiały się takie same medaliony, zielone, czerwone i barwy kości słoniowej, inkrustowane bladym złotem. Niektórzy z malców nosili poza tym zabawne pelerynki, przywiązane wstążkami do ramion; Grinje i Yena zachwyciły się natychmiast różnobarwnymi i lśniącoymi jak materiał szortów, ale znacznie cieńszymi tkaninami. Obie kobiety podeszły do dzieci i gdy odważyły się dotknąć pelerynek, spostrzegły, że nie zrobiono ich z tkaniny, ale z luźno zestawionych włókien, lżejszych i cieńszych od włókienek jedwabiu, które opadały wspólną falą nie płacząc się, pod wpływem jakiejś przedziwnej siły magnetycznej. Chłopcy nosili pelerynki odrzucone na plecy, ale kiedy biegli, prąd powietrza rozciągał je za nimi, czyniąc z nich nieomal skrzydła. Jeden z malców, ubawiony naszym zdumieniem, rozłożył pelerynkę i przyciągnął brzegi na piersi, zakrywając dokładnie cały tors rodzajem obszernego płaszcza. Mieliśmy się później przekonać, że nie istniało okrycie lepiej chroniące od zimna czy słonecznego żaru; zobaczyliśmy także, jak deszcz spływał wzdłuż włókien, nie przenikając przez nie wcale.

Dzieci zadawały nam najprostsze pytania:

- Kim jesteście?
- Cudzoziemcami.
- Skąd przybywacie?
- Z bardzo daleka...

Te odpowiedzi zdawały się najzupełniej malcom wystarczać. Powiedzieli nam także, iż wylądowaliśmy w „rezerwacie”, gdzie starano się usilnie, aby nie rosło nic oprócz roślinności „dawnej Kljeny”. Tylko, oczywiście, nikt nie mógł zabronić ptakom, aby tamtędy przelatywały...

Chłopczyk spotkany poprzednio znajdował się także wśród innych dzieci, tak samo wesoły i serdeczny jak one, uspokojony obojętnością Sebursta, od którego trzymał się jednak z daleka. Całą gromadkę intrygowały mocno nasze ubrania, a przede wszystkim nasze zegarki — podziwiano je bez znużenia, słuchano ich cykania, przy czym, jak się zdaje, nikt nie rozumiał, do czego mogą służyć.

Kiedy Grinje powiedziała nagle: „Chce mi się pić”, dzieciaki rozbiegły się jak stado wróbli. Zobaczyłem, że kilkoro z nich zatrzymało się pod drzewem obwieszonym suchymi owocami, tkwiącymi w dużych miseczkach, po czym odrzuciły owoce i pomknęły dokądś z samymi miseczkami. Po chwili — uszczęśliwione, zadyszane — przyniosły je z powrotem, napełnione napojem roślinnym, wyciśniętym z wielkiego kaktusa o białych kwiatach, którego ciekawe właściwości wyjaśniono nam później.

Napój ten wydał mi się po prostu czarodziejski: był pienisty, świeży, po tak długim czasie przywracał nam jak gdyby smak zmysłowego świata. Nasze zdumienie radowało gromadkę malców. Yena powiedziała dla żartu: „Jestem głodna”. Dzieci rozbiegły się znowu, na powtórne łowy, pieszo lub wskoczywszy na swoje koniki. Wracały jedno po drugim obładowane niesamowicie różnorodną masą owoców. Były tam wielkie melony o cętkowanej skórce, których miąższ stanowiła słodka pianka, były długie, spiralnie skręcone owoce, które lizało się jak lody, zielono i różowo nakrapiane rogaliki, które należało przełamać pośrodku, aby dobrać i schrupać ich ziarenka... Dzieci wymieniały mimochodem nazwy owoców: cesty, taliny, andalisy...

Zapamiętałem zwłaszcza gelidy, duże owoce o budowie

plastra miodu, a zapachu malin, rosnące w fiołkowych gronach na wysokim drzewku z żółtym pniem. Jedno z dzieci wdrapało się na nie, aby pochylić jego wierzchołek, a kiedy ciężar malca na to nie wystarczał, drugi chłopiec i trzeci przyłączyli się do kolegi, aż wreszcie drzewko skłoniło się do chciwie wyciągniętych rąk.

Seburst jadł i pił razem z nami, ale — jak sądzę — zupełnie machinalnie. Był całkowicie pogrążony w myślach, odruchowo rysował patykiem jakieś znaki na ziemi, z błędnymi oczyma, mrucząc coś pod nosem od czasu do czasu. Jednakże, kiedy Grinje zapytała dzieci o medaliony, które nosiły na szyjach, podniósł głowę i przysunął się bliżej. Chłopcy tłumaczyli, że kolory wskazują, z jakiego miasta kto pochodzi — barwa biała oznaczała Kamirę, zielona Arkeję, a czerwona Olosonę. Wymienili tylko te trzy nazwy.

— A liczby? — zapytał Weng Ti.

— Oznaczają ilość naszych przodków.

Dziwna odpowiedź! Rzymskie cyfry tworzyły liczbę czternaście bądź trzynaście. Seburst wziął do ręki wisiorek z tą ostatnią liczbą i spytał chłopca:

— A co jest na medalionie twego ojca?

— Liczba dwanaście.

Seburst wypuścił z ręki wisiorek. Jego oczy przybrały znowu twarde wyraz. Namyslał się przez chwilę, po czym zwrócił się do mnie:

— Pokolenia! Ile pokoleń mieści się twoim zdaniem w okresie trzystu lat?

Odgadłem, co miał na myśli: za tym pytaniem stało nazwisko. Trzy sylaby wiodące w jego głowie opętańczy korowód: Geilendorth, Geilendorth... Być może, aby uwolnić się od tej natrętnej myśli, zapytał najstarszych chłopców:

— Chciałbym wiedzieć, kto wami rządzi.

Dzieci odwróciły głowy, bo jak nieoczekiwana odpowiedź pojawił się Hilgor. Był to człowiek młody, piękny jak romantyczny bohater ze swoją jasną, odrzuconą do tyłu czupryną i spojrzeniem smętnego archanioła. Nosił strój rycerza „Czarnej

Gwiazdy” — wąskie spodnie i ściśnięty w pasie kubrak, podobny do średniowiecznego kaftana.

Zakon Czarnej Gwiazdy... Od pierwszej chwili gdy tylko dzieci wymieniły nazwę rycerskiego bractwa rządzącego wyspą, wyczułem w zestawieniu owych dźwięcznych słów niepokojącą zagadkę. Gwiazda? Może miało to związek ze specjalną formą medalionu pokoleń, która nadawała mu wartość symbolu: gwiazda o licznych promieniach, przytwierdzona dwoma uchwytnymi do naszyjnika. Ale przecież metal miał kolor bladego złota! Co do stroju, to chyba dla uproszczenia nazywano go czarnym. W istocie był to bardzo głęboki fiolet, o zmiennych, mieniących się odcieniach, który zależnie od oświetlenia mógł wydawać się ciemnym granatem albo purpurą.

Hilgor zsiadł z konia, podszedł bliżej i uklonił się tak, jak poprzednio zrobiły to dzieci, nie spuszczać z nas jednak swych przenikliwych oczu. Bardzo szybko jego zainteresowanie skupiło się wyłącznie na osobie Sebursta, jak gdyby chciał dojść bez zwłoki do sedna sprawy. Zdawało się, że my, pozostali, przestaliśmy go niepokoić wskutek naszej radosnej bez troski. Na nasze wyjaśnienia rzucił krótko: „Później!” Gdyśmy o coś pytali, wskazywał na otaczają-ce nas dzieci: „One wam wszystko wytłumaczą. A teraz wracamy!” — dodał spojrzawszy na słońce stojące już bardzo nisko.

Dzieci porwały nas z sobą. Tak jak moi towarzysze znalazłem się pośród rozigranej gromadki, która pociągnęła mnie załmową drogą. Malcy chwytali nas za ręce, nadawali rytm naszym krokom, uczyli nas piosenek, które biegły wyprzedzając kładące się przed nami cienie. Seburst i Hilgor szli z tyłu. Po obu stronach drogi towarzyszyły nam konie to zatrzymując się skuszone kępą trawy, to galopując przez chwilę.

Pochód pełen szczęścia, radości, cichego uniesienia... Wszystko wydawało nam się łatwe, dobre, przyjazne. Wszystko było piękne zmieniającą się stale pięknnością, zadziwiającą nieustannie, w miarę jak droga skręcała, opadała w dół, wspinała się w górę, a my szliśmy naprzód.

Widzieliśmy łąny kwiatów, lasy akacji i wiązów, długie aleje bendrali i serylierów. Potem, po prawej stronie, ukazało się nagle morze między dwoma gajami. I znowu gęstwina roślin — kwiatów i drzew. Wreszcie, z ostatniego wzniesienia, ujrzeliśmy Miasta zgrupowane w głębi zatoki o białych falach.

*

Było ich trzy i tylko one stanowiły osiedla Klilyeny. U naszych stóp rozciągała się Kamira, po drugiej stronie zatoki — Olosona, a między nimi, na obu brzegach uchodzącej do morza rzeki, piętrzyły się domy Arkei aż do podnóży Szkarłatnych Gór. Trzy miasta stanowiły w istocie jedno, gdyż dotykały się krańcami. Były jak gdyby olbrzymim ogrodem pełnym zieleni i różnobarwnych kwiatów. Rozróżnialiśmy sieć ulic, widzieliśmy, jak półokrągłe dachy lśnią łagodnie w blaskach zachodu niby kopuły mauretańskiego grodziszczca.

Po drodze spotykaliśmy inne grupy dzieci, które tak jak my wracały do miast — grupy dzieci młodszych i starszych, dziewcząt i chłopców. Dziewczęta nosiły mieniące się spodenki do kolan, a na nich tuniki w rodzaju hinduskich sari. Tkaniny były bogate, stroje pełne wdzięku, a stanowiły tym większą ozdobę, że noszono je z zupełną swobodą. Niektóre gromadki dziewczynek jechały stłoczone na saniach, ciągnionych szparko przez te same koniki o złocistej sierści.

Pozdrawiano się, łączono w nowe grupy, przesyłano sobie uśmiechy. Radość tryskała zewsząd jak tysiące źródeł.

Przeszliśmy w poprzek Kamiry, gdzie pożegnały nas przyjaznym „do widzenia” dzieci z białymi medalionami. Szerokie ulice obrzeżały drzewa albo grzędy kwiatów. Po obu stronach ciągnęły się niskie murki, parterowe domy, portyki otwarte na małe ogródki, gdzie gawędziły grupki kobiet, zajętych tkaniem lub szyciem.

Hilgor prowadził nas do Arkei, głównego miasta skupionego na obydwu brzegach rzeki. Na brzegu prawym, gdzieśmy się

właśnie znajdowali, nad domami górowało zamczysko Czarnej Gwiazdy. Mury, tarasy, fasady, okryte gęstymi festonami pnączy, piętrzyły się aż do podnóża gór, płonąc o tej wieczornej godzinie tym samym, co one, blaskiem.

Weszliśmy do twierdzy przez niskie drzwi, minęliśmy kilka podworców, kilka sal. Kręcili się tam mężczyźni w takich samych jak Hilgor strojach i równie jak on poważni; robili wrażenie ludzi trzeźwych i pozbawionych złudzeń, co kontrastowało jaskrawo z bez troską innych mieszkańców Klijeny.

Kazano nam zaczekać w obszernym przedsionku, oświetlonym zdumiewającymi witrażami, które później opiszę. Hilgor znikł i po dłuższej chwili wprowadził nas do Hancka, wielkiego mistrza Czarnej Gwiazdy.

Był to mężczyzna dosyć tęgi, o wygolonej czaszce i energicznej twarzy. Musiał być starszy, niż wskazywał na to jego wygląd, bo na medalionie zdobiącym jego pierś błyszczała liczba jedenastego pokolenia mieszkańców Kalgaru.

Mówił niewiele, wysłuchał nas, po czym popadł w zadumę. Podobnie jak niedawno Hilgor, całą uwagę skupił wyłącznie na osobie Sebursta. Widział doskonale po naszych zachwyconych minach, że na nas, pozostałych, Klijena rzuciła już swój czar.

Pozwolił nam odejść, poprosiwszy Hilgora, aby się zajął naszym noclegiem, ale Sebursta zatrzymał przy sobie.

*

Na przedmieściu Arkei Fendol stał przed portykiem swego domu, otoczony całą rodzi-ną. Była tam szczuplutka Elgiwar, jego żona, dwaj synowie, Bal i Ydel, oraz córka, mała Olianka, o zielonych oczach. U nich mieliśmy zamieszkać, Grinje i ja. Kiedy Hilgor im to oznajmił, wszyscy ucieszyli się ogromnie. Dzieci rzuciły się nam na szyję, chłopcy wołali z dumą, że już się znamy, bo spotkali nas przed wieczorem na drodze. W podskokach i wśród nieustannych wybuchów śmiechu dzieci poprowadziły nas przez długi, przepiękny ogród, na który otwierały się wszystkie

pokoje parterowego domu podobnie jak w willach antycznych.

Największe pomieszczenie było wspólnym pokojem rodziny. Stało tam niedużo mebli o prostym rysunku, ale wykonanych z niezwykle bogatego surowca: z czegoś w rodzaju przejrzystego szylkretu, żyłkowanego jak drewno, mieniącego się brązem, purpurą i złotem.

Z obu stron otaczały długi stół dziwaczne siedziska, jak gdyby taborety wsparte na spiralnej nodze splecionej z giętkich prętów, owijających się wokół centralnej osi.

Przyniesiono owoce, napełniono czarki. Zanim podniósł napój do ust, Fendol wylał kilka jego kropli, tak jak czynili to starożytni składając bogom ofiarę. Potem przywitał nas w paru serdecznych słowach, które utrwaliły ostatecznie przyjacielską, panującą w tym domu atmosferę.

Jedliśmy i pili, po czym, ponieważ zapadała już noc, odprowadzono nas do naszego pokoju.

Nadszedł teraz czas, aby opisać zdumiewające budowle Klijeny albo raczej — skoro architektura parterowych domków odznaczała się wyjątkową prostotą — materiały, z których je wzniesiono.

Już samo przejście ulicami mogło obudzić zdziwienie: fasady nie były ani z kamienia, ani z cegieł, nie pokrywał ich żaden ze znanych nam tynków, ale miały jedwabisty połysk materii ożywionej, przypominającej żalmę. To określenie jest chyba prawidłowe — mieliśmy istotnie do czynienia z gatunkiem bardzo zbliżonym do roślinnej nawierzchni dróg; zwano go liedą, a rósł przybierając z niesamowitą uległością wszelkie kształty, jakie murarze zechcieli mu nadać. Kiedy już zakreślono obwód budowli, zasiewano liedę w tych miejscach, gdzie miały być fundamenty. Uwięziona w drewnianych formach, które podwyższano w miarę jej rozwoju, roślina rosła, a z nią razem rósł dom. Po kilku miesiącach, kiedy ściany połączyły się u szczytu kopuł, zatrzymywano ich wzrost, pokrywając je bezbarwnym, mineralnym smarowidłem, które wystarczało stosować potem w dużych odstępach czasu.

Gdyż lida żyła nadal. Czuliśmy w naszym pokoju, jak jest świeża i ciepła, solidna i giętka zarazem, miła w dotknięciu jak delikatna sierść zwierzęca. Wewnątrz niej wznosiły się, krążyły miliardy maleńkich banieczek; ostatnie promienie słońca zamieniały je w okruchy złota.

Okno miało kształt wielkiego, poziomo umieszczonego owalu z wprawionym weń witrażem. Majaczyły za nim gałązki fiołkowego krzewu. Ale robiło się coraz mroczniej. Wreszcie zapadły zupełne ciemności.

ROZDZIAŁ CZWARTY ZŁOCISTA NOC

Grinje spała jeszcze, ale ja, cudownie nasycony snem, otworzyłem właśnie oczy. Pod jedwabistym dotknięciem prześcieradeł moje ciało, doskonale wypoczęte, zdawało się unosić — łóżko na elastycznych pasach jak gdyby pozbawiało je wagi. Przepęniało mnie cudowne uczucie błogości. Przez uchylone okno dolatywał zapach kaprifolium, ściany i sufit lśniły słabym odbłaskiem wygwieżdzonej nocy, który przenikał przez liedę, mocno stłumiony, ale jeszcze drgający światłem, odtwarzając w postaci rozproszonego pierścienia nieomal doskonały krąg złotawego księżyca.

Spojrzałem na zegarek i natychmiast rozśmieszył mnie ten gest. Doba na Kalgarze była prawie dwa razy dłuższa niż na Ziemi, noce liczyły piętnaście albo więcej godzin. Obliczyłem jedynie, że spałem około sześciu godzin: noc zaledwie się rozpoczęła.

Wtedy właśnie doznałem tego dziwaczного wrażenia, które przeniosło mnie nagle o kilka lat wstecz, kiedy podczas zaprawy koniecznej dla kosmonauty znalazłem się na ławicy lodowej, dryfującej na północ od Morza Baffina. Obozowaliśmy w lodowych chatkach i zdarzało się, że księżyc kładł na naszych przezroczystych ścianach taki sam złotawy pierścień jak ten, który drżał na liedzie. W takich chwilach czuliśmy najlepiej ruch naszej pływającej wyspy — była to wibracja, skręt, nieznaczna zmiana kierunku, którą zdradzała zmiana miejsca księżyca.

Byłem zupełnie pewien: doznałem identycznego wrażenia, choć może mniej wyraźnego, ale dającego się sprawdzić w podobny sposób. Nie miałem jednak czasu na zgłębianie tej zagadki. Na dworze zabłysło nagle światło i jarzyło się coraz mocniej, tak iż pomyślałem, że świta. Nie był to jednak biały,

szarawy brzask, zawsze trochę smutny, porannej zorzy — przeciwnie, miał cudowne ciepło barw zachodzącego słońca. Podbiegłem do okna i otworzyłem je: całe niebo wydawało się w ruchu. Gasząc światło gwiazd, migocząc jak chmura olbrzymich świetlików, bezkresny dywan błyszczał, sunął, zataczał kręgi jak rzeka tocząca się od brzegu do brzegu horyzontu. Przychodziło na myśl, że falują miliony promiennych skrzydeł, że maszerują całe armie żołnierzy z pochodniami. Niebo, zbryzgane złotem i miedzią, wydymało się, płynęło, mknęło ogarnięte wybuchem szaleństwa.

Grinje obudziła się i stanęła przy mnie.

— Jakie to piękne! — powiedziała.

Tak, pięknością sennego marzenia...

W tej chwili weszli nasi gospodarze, Fendol i Elgiwar, łagodnie uśmiechnięci.

— Co to? — spytałem wskazując na niebo.

Po prostu, tak jak się u nas mówi „śnieg pada” albo „deszcz” — odpowiedzieli:

— To pora złotych zórz.

Wyjaśnili nam, że owo codzienne zjawisko przypadało w połowie nocy, trwało kilka godzin i że podczas tej złocistej pory wszyscy mieszkańcy Klijeny przywdziewali swoje naj-piękniejsze stroje i gromadzili się na brzegach rzeki, gdzie odbywały się zabawy i przedstawienia.

Fendol dla mnie, a Elgiwar dla Grinje przynieśli wielki stos mieniącej się odzieży, którą uświetniał jeszcze dziwny blask zastępujący światło słoneczne.

Strój odświętny mężczyzn składał się z obcisłych spodni i koszuli o bufiastych rękawach, na którą wkładało się coś w rodzaju kamizelki o szeroko rozwartym kołnierzu, wciętej w pasie i sięgającej do bioder. Wybrałem jasnoniebieską kamizelkę, a spodnie i koszulę — białe. Grinje uważała, że wyglądam w tym przebraniu jak tancerz z baletu. Ona zaś — w wąskich, fiołkowych spodniach i zielonym, biało haftowanym sari — przypominała hinduską księżniczkę z dawnych wieków. Znaliśmy

już tkaninę, z której uszyto nasze stroje: był to miękki, lśniący materiał, ciężki na oko jak jedwab z Kambodży, a w rzeczywistości lżejszy od tiulu. Przyłączyły się do nas dzieci: chłopcy w białych szortach i białych koszulach, Olianka w różowym sari.

W sali jadalnej czekał na nas Hilgor. Wręczył nam zielone medaliony — w kolorze Arkei — oznaczone liczbą trzynastego pokolenia, do którego byliśmy zbliżeni wiekiem. Patrząc na nas z powagą w oczach i z nikłym uśmiechem na ustach, życzył nam szczęśliwej nocy, po czym się oddalił.

Na dworze było ciepło, w powietrzu snuły się łagodne powiewy i zapachy kwiatów. Samo przejście po tak dziwnie oświetlonych, wysłanych żalną ulicach, w gwarze budzącego się miasta — było już czarodziejskim przeżyciem. Nad naszymi głowami, poprzez ruchome blaski złotych zórz, widniała tarcza wielkiego, bladego księżyca; drugi, o wiele mniejszy, zaledwie wychylał się spoza horyzontu.

Obaj chłopcy paplali, śmiali się, skakali wokół mnie, a Olianka trzymała Grinje pod rękę i nie opuszczała jej na krok.

Małymi grupkami inni mieszkańcy Klijeny wychodzili ze swoich domostw i tak jak my kierowali się w stronę morza.

W miejscu gdzie ulica docierała do brzegu rzeki, stały przycumowane małe stateczki o wysmukłych kształtach; ich wzniesione dzioby i rufy łączyły się nad głowami pasażerów łukiem ozdobionym punktami świetlnymi, jak gdyby rzędem latarek weneckich. Kiedyśmy się jednak zbliżyli, rozpoznałem w nich olbrzymie ćmy-światliki, ze wszystkimi ich odcieniami, zapachem i bogactwem rysunków.

Nasi towarzysze pociągnęli nas do jednej z tych gondoli, gdzie znajdowało się już około piętnastu osób. Mężczyźni ujęli wiosła i zaczęliśmy sunąć z czarowną lekkością w stronę ujścia rzeki. Kilka barek płynęło przed nami, inne stały przy brzegu, zapełniając się pasażerami, inne jeszcze zbliżały się z przeciwka, od Olosony. Nad wszystkimi lśniła iluminacja utworzona ze świetlików, we wszystkich pełno było mężczyzn, kobiet i dzieci w

odświętnych strojach. Melodyjny gwar jednoczył całą tę flotyllę. Refreny, arie, piosenki, których strofki podejmowały kolejno sunące łodzie, biegły nad ukwieconymi wodami, podtrzymywane z cicha wtórem fletów i cymbałów.

Wkrótce brzegi zacieśniły się, wiodąc do punktu, gdzie dziwaczna tama gwałtownie przecinała rzekę. Był to rodzaj czerwonej skały, dokładnie prostopadłej, po której snuły się odbłaski złotych zórz.

Z pewnym lękiem ujrzałem, jak wyprzedzająca nas łódź pędzi prosto na skałę. Ale zamiast huku zderzenia, którego się obawiałem, gondola szybko otarła się o coś i znikła tak tajemniczo, jak gdyby mur otworzył się dla niej i zamknął po chwili.

Nie ochłonałem jeszcze ze zdumienia, kiedy na nas przyszła kolej zderzenia się z przeszkodą. Dotknięcie zasłony jedwabistych lian, szmer rozgarniętych trzcin, kilka sekund zupełnej ciemności — oto jedyne wspomnienia, jakie zachowałem o tym dziwnym przejściu. Po drugiej stronie na nowo zaczynała się feeria. Znajdowaliśmy się pod Głównym Sklepieniem.

*

Tutaj, wokół rzeki i barek, rozciągał się wesoły kiermasz ze swymi straganami, z kłębiącym się, pogodnym tłumem, ze swoim radosnym gwarem. Wszędzie rozbrzmiewał dziecięcy śmiech, mieniły się kolory, błyszczały świetliki w locie lub uwięzione na wystawach straganów; półmrok czynił je jeszcze bardziej lśniącymi i piękniejszymi. Nad nami rozciągało się Główne Sklepienie, tak wielkie, że zasłaniało głąb doliny, a wyżej jeszcze — rzucając poprzez przezroczystą budowlę świetliste, ruchome kręgi — szalało nieustanne falowanie złotych zórz.

Przybiliśmy do brzegu. Grinje i ja szliśmy z pewnością bardziej oczarowani niż za dziecinnych czasów zabawkami spod choinki. Czuliśmy się szczęśliwi idąc ramię w ramię z tłumem, mieszając się z nim, wyglądając tak samo jak tutejsi ludzie. Gdyż

w tym momencie nie wyobrażaliśmy sobie większego szczęścia, jak upodobnić się do nich, innego losu, jak dzielić ich życie.

Straciliśmy z oczu Fendola i jego żonę, ale dzieci szły ciągle z nami niby młode psiaki na przechadzce, to znikając, to biegnąc, aby nas dogonić i poprosić o słówko lub pieszczotę, to gubiąc się znowu.

Dwa lub trzy razy spotkaliśmy Magrinich, rozpromienionych ze szczęścia.

— Co powiesz o tym wszystkim? — spytałem kolegi.

— Zachwycające! Można by pomyśleć, że jakiś dobry duch rzucił w przestrzeń wokół Kalgaru chmurę złotych liści.

Opuścił mnie, żeby podbiec do Yeny, która przywoływała go od progu sąsiedniego straganu.

Złote liście, dobry duch! Wszystko wydawało się nam takie proste!

Szliśmy naprzód, zatrzymując się przy wystawionych towarach; były tam piramidy wspaniałych owoców, zimne napoje przechowywane w dzbanach z porowatej glinki, ciastka i łakocie, tkaniny, szale... Każdy mógł kosztować, czego chciał, brać, co mu się podobało. Płacić? To słowo zdawało się nie mieć żadnego sensu na Klijenie.

Tak właśnie było w sklepiku złotnika, gdzie czekała na nas Yena. Na poduszkach z serylażu tkwiły wspaniałe brosze jak kwiaty ze złota, a właściwie z elektrum, stopu złota i srebra, jak nam wyjaśnił złotnik, uśmiechnięty staruszek, zapoznając nas z pięknem tego metalu.

Grinje zachwycała się nim od razu, porwała jeden z klejnotów i przypiąwszy go do swego sari, zwróciła na mnie spojrzenie tak dobrze znane mężom, którzy wybrali się z żonami na zakupy.

Zrobiłem już ruch, aby wydobyć moją kartę kredytową, szukając jednocześnie wzrokiem maszyny elektronicznej, która przeniosłaby ten wydatek na mój rachunek w banku, ale natychmiast roześmiałem się ubawiony. Nie byliśmy przecież na Ziemi! Na Kalgarze musiał jeszcze panować system monetarny.

Spytałem o cenę klejnotu, ale staruszek zdawał się nie rozumieć. Zaczął tłumaczyć w przemiły sposób:

— Podobał się pani ten drobiazg, wybrała go pani... Czegóż mógłbym żądać więcej? Kiedy się pani znudzi, proszę przyjść i wymienić go na inny.

Tak właśnie postępowały mieszkanki Klijeny, co do tego stopnia zachwyciło Yenę, że co chwila wracała do starego złotnika, aby za każdym razem mieć przyjemność wymieniania klejnotu.

— Takie są śliczne! Chcę wszystkie trochę ponosić!

Staruszek uśmiechał się coraz radośniej, a ja pomyślałem sobie, że w dziedzinie pieniędzy i płatności przestarzały jest raczej system ziemski!

*

Można było przejść na drugi brzeg po wygiętych łukowato mostach, z których obserwowało się ruch barek — dziwacznych statków na przedziwnym szlaku z płynnego złota, które pora zórz mieszała z wodami rzeki.

Różnorodne atrakcje — popisy zręczności, zjazdy na saneczkach, z prostotą urządzone ujeżdżalnie — czyniły z drugiego brzegu istny raj dla dzieci. Na estrady ozdobione dekoracjami wspinali się bajarze, ekwilibryści, kukiełkarze, ludzie pokazujący chińskie cienie — wszyscy występujący dobrowolnie amatorzy, wszyscy gorąco oklaskiwani, jeśli nawet numer udał się tylko w połowie.

— Czy widziałeś naszego Wenga Ti?

Magrini zaciągnął mnie ze śmiechem do jednego z tych maleńkich teatrzyków. Weng Ti, rozpromieniony, zmieniony nie do poznania, zdobywał sobie nie lada sukces kilkoma magicznymi sztuczkami własnego pomysłu.

— Niech się dzieje, co chce! I ja zaryzykuję! — postanowił z kolei Magrini.

Zastąpił Wenga na estradzie i zaintonował swoim

rzeczywiście pięknym głosem wielką arię ze starej opery.

Kiedy oklaskiwałem go razem z szalejącą z zachwytu młodą publicznością... Nie, nie potrzebowałem się nawet odwracać, żeby rozpoznać tę żelazną dłoń, która do bólu ścisnęła mi ramię, ten szybki oddech tuż przy moim uchu.

— Głowe... To sklepienie... Czy nie daje ci ono do myślenia?

Wyrwanie się z cudownego snu, aby zrozumieć, aby móc odpowiedzieć, wymagało nie-omal bolesnego wysiłku.

— Widziałem to sklepienie. I co z tego?

— Cofnijmy się o kilka rzędów, dobrze? Ktoś mógłby nas tu podsłuchać.

Zastosowałem się niechętnie do prośby Sebursta. On również nosił odświętny strój Klijeny, ale była to jedyna rzecz, która upodabniała go do nas. Tak, do nas, do tego ludu, z którym zjednoczyłem się w myśli, aby wyrazić, jak bardzo Seburst pozostał dla niego obcy.

— Czy zauważyłeś, jakie są wymiary tej budowli? Jej ogrom przerasta najzuchwalsze konstrukcje człowieka na Ziemi!

Wpatrywał się chciwie w olbrzymi pułap Głównego Sklepienia.

— Nie wmawiaj we mnie, że to dzieło kapryśnej przyrody: przyjrzyj się temu żebrowaniu, tym zarysom... Nie mów mi także, że ten naród małych dzieci mógł stworzyć podobne чудо. Architekci Sklepienia należeli do rasy na wyższym szczeblu rozwoju.

— Czyżby Czarna Gwiazda?

— Czarna Gwiazda administruje jedynie wyspą. To rodzaj policji. Sam wielki mistrz jest tylko jej funkcjonariuszem. Kiedy zapytać, kto rządzi Kalgarem, odpowiadają: „Arkant”. Ale mówią o nim jak o postaci mitycznej, jak o sędziwym mędrцу, który ukazuje się niezmiernie rzadko, którego wszyscy mogą oglądać, ale z daleka. Może to być posąg, może jakiś bożek? Trzeba wyświetlić tę tajemnicę. Posłuchaj...

Ciekawa rzecz... Seburst, który chwilami wydawał się najtrzeźwiejszy z nas wszystkich, nie zauważył, do jakiego

stopnia rozbiegły się drogi naszych myśli. Rozkazywał spokojnie:

— Zbieraj wszystkie możliwe informacje dotyczące Klijeny, jej dziejów, jej organizacji politycznej i tego Arkanta. Jutro, po pierwszym posiłku, bądź przy Liedowej Fontannie. Zapamiętaj tę nazwę. I zapamiętaj również, że rasa Sebursta musi zapanować na Kljenie. Dobranoc, Głowe!

Patrzyłem za nim, kiedy mnie pożegnał — gubił się w tłumie, oddalał w złotawym półmroku i wtedy uświadomiłem sobie nagle, że z prawa i z lewa dwie postacie poruszają się tak jak on, stosują się do rytmu jego kroków, przystają, kiedy on przystaje, jednym słowem, śledzą go. Dwie postacie w mundurach Czarnej Gwiazdy.

*

Złocistą północ zakończyło widowisko baletowe. Czyż mogło być inaczej? Ten lud o smukłych członkach, cienkich taliach, który poruszał się tanecznym krokiem, nie znalazłby w żadnej innej sztuce lepszego wyrazu dla oddania swej radości życia.

Mury Głównego Sklepienia zbliżały się ku sobie, w miarę jak szło się w górę rzeki, tworząc wydłużony trapez. Teatr zbudowany w jego wyższej części obejmował z obu stron rzekę. Wchodziło się tam po majestatycznych, podwójnych schodach — tłum zapełnił je, gdy tylko rozległ się dźwięk gongów.

Była to imponujących rozmiarów budowla, mogąca pomieścić całą ludność Kljeny. Stopnie wysłane żalną zbiegały ku scenie oświetlonej olbrzymimi pochodniami. W wazach z karneolu płomienie czerwone, w wazach z chryzoprazu — zielone rozrzucały hojnie swoje blaski i aromaty.

Widowisko rozpoczęły popisy dzieci. Grupy chłopców w bieli i dziewcząt w kolorowych sari tworzyły zbiorowe figury z godnym podziwu artystem. Ukazały nam także nowe, cudowne zjawisko. Bo oto muzyka zdawała się unosić spod ich stóp! Dowiedziałem się wkrótce, że podłogę ułożono z wydających dźwięki płyt — każda z nich wibrowała pod uderzeniem innym

melodyjnym tonem, tak iż tancerze poruszali się po czymś w rodzaju olbrzymiego ksylofonu; zgodność ruchów i dźwięków miała w sobie urok pięknego snu.

Kolejne części widowiska, przeplatane chórami i muzyką, ciągnęły się długo, coraz wspanialsze, coraz trudniejsze, kończąc się wreszcie na oczekiwanych niecierpliwie popisach mistrzów i mistrzyń tańca. Zapadała wtedy wśród tłumu zupełna cisza, napięcie rosło aż do ostatniego obrotu, aż do ostatniej nuty, do chwili kiedy wybuchał grzmot oklasków.

*

Kiedy zwolniły się obroty złotych zórz, kiedy światła ich przygasły przybierając odcienie ciemnego brązu, na scenie zjawił się Hanck, wielki mistrz Czarnej Gwiazdy, w otoczeniu swoich oficerów. Powiedział kilka przyjaznych słów, odmówił krótką modlitwę, po czym rozłożył szeroko ramiona błogosławiącym gestem. A wtedy cała sala zerwała się z miejsc i z wszystkich ust popłynął cudowny hymn braterstwa. Tyle razy śpiewałem go z tym ludem i tak był porywający, że dziś jeszcze, kiedy piszę te słowa, wibruje on we mnie z całym swoim żarem, z całym splotem radości i żalu.

Płomienie przygasły w kagańcach, ostatnie blaski, zielone i purpurowe, ślizgały się po strojach z serylażu. Hymn łączył nas jak dobroczynna fala.

Kiedy umilkła jego ostatnia nuta, zauważyłem, że mój sąsiad, starszy człowiek o siwiejących skroniach, położył dłoń na moim przedramieniu, a ja i Grinje uczyniliśmy instynktownie ten sam gest; wszyscy w olbrzymiej sali złączyli się lekkim uściskiem w sposób tak naturalny, że — jak to bywa w stosunku do osób najbliższych — zdaliśmy sobie sprawę z serdecznego gestu, dopiero gdy przerwało go zakończenie pieśni.

ROZDZIAŁ PIĄTY KONNA WYPRAWA

Cały okres, który potem nastąpił, zostawił mi podobne, urzekające wspomnienia. Pozwalaliśmy płynąć dniom, a w naszych sercach mieszkała głęboka szczęśliwość, pełna i pogodna; dziwi mnie obecnie, iż żadne przeczucie, żaden znak nie dał nam poznać, jak bardzo była ona krucha. Albo raczej, że z taką beztroską lekceważyłem wszelkie znaki. Gdyż radość może współistnieć tylko z beztroską.

A może, koniec końców, lepiej się stało? Tak, z pewnością, sto razy lepiej, że nie znaleźmy w tym czasie dramatu Klijeny, groźby wiszącej nad wyspą, nad jej mieszkańcami, nad całym Kalgarem.

Dni zaczynały się przy Liedowej Fontannie. Było to źródło tryskające potężną, niebieskawą kolumną wody do wysokości ponad piętnastu metrów. Umieszczono tu, jeden nad drugim, szereg basenów z liedy, w których kąpały się dzieci. Bal i Ydel czyhali na chwilę naszego przebudzenia i prowadzili nas tam już o świcie. Zanim nam pozwalali zejść do kąpielisk znajdujących się nieco niżej, pragnęli zawsze, abyśmy obejrzeli ich sportowe wyczyny. Gdy tylko zobaczyli z daleka fontannę, rzucali się biegiem do ataku i wdrapywali się kolejno na pionowo umieszczone baseny, aż do najwyższego i o najmniejszej średnicy, z którego środka z hukiem tryskała woda. Zanurzali w niej ręce i głowy, śmiejąc się pod chłostą ostrych bryzgów, zachęcani i naśladowani przez innych zuchwałych łobuziaków. Wreszcie jeden z nich się decydował: stojąc tuż przy pionowej kolumnie wody, która szorowała po jego plecach, obliczał możliwości skoku, podkulał nogi i gwałtownie przewracał się w tył.

Zabawa ta wymagała ogromnej zręczności, gdyż najczęściej

potężny prąd odpychał śmiałka; czasem jednak, kiedy rzut został dobrze obliczony, woda niosła go w górę, skulonego, z kolanami pod brodą, z nogami w oplocie ramion, wyrzucała w powietrze tak wysoko, jak sięgał szczyt wodnego pióropusza, pozwalając mu spadać, podrzucała znowu, igrała z nim jak z piłką. Aż do chwili kiedy jeden ruch, nieznaczna utrata równowagi kończyła zabawę. Chłopiec spadał wtedy z zawrotną szybkością, która zapierała oddech patrzącym. Omijał najwyższe zbiorniki, odbijał się od obrzeżeń niższych, miękko odskakując od elastycznej liedy, i wreszcie nieruchomiał w jednym z basenów, zdyszany, rozczochrany, półprzytomny, ale dumny jak paw. Gdy tylko mógł zaczerpnąć oddechu, zaczynał wrzeszczeć i śmiać się z kolegami.

Przed tą właśnie fontanną Seburst wyznaczył nam spotkanie pierwszego rana. Gdyśmy się zbliżyli, dał nam znak i poszliśmy za nim. W pobliżu czekały sanki zaprzężone w tutejsze małe koniki o złotawej sierści. Weng Ti trzymał lejce, Seburst usiadł przy nim, a ja i Magrini zajęliśmy miejsca z tyłu. W świetle wstającego dnia minęliśmy plac, którego nie widzieliśmy poprzedniego dnia — porastały go kwitnące krzewy, a z ich gęstwiny wznosił się tłum posągów. Wyrzeźbiono je z tutejszych przejrzystych skał, lśniących jak marmur, a jednocześnie kolorowych, żyłkowanych, przetkanych błyskami, obdarzonych przez słońce promienną duszą.

Mogliśmy obejrzeć dokładnie najbliższe: stojące dęba konie, grupę dzieci, atletów i... Seburst dojrzał go jednocześnie ze mną i jego twarz zastygła w twardą maskę. Dyskobol! Dyskobol Mirona! O mało nie napisałem „nasz” dyskobol. Cudowne arcydzieło, znane na Ziemi w tysiącach reprodukcji, stało tu w ponad naturalnej wielkości, wyrzeźbione w jednym bloku błękitnego berylu, którego świetlista przejrzystość użyczła jego kształtom i wdzięcznemu gestowi nowej piękności.

— Tak, Glowę, to „Dyskobol”. Już drugi, jakiego tu widzę. A ci wszyscy inni... Hermes, Wenus, Budda w różnych ujęciach! Istne muzeum kopii!

— Aby kopiować, trzeba mieć modele.

— Słusznie, Glowe.

Mówił nie odwracając nawet głowy, ogarniając obojętnym spojrzeniem wspaniały ogród, który zaczynały już ożywiać bawiące się dzieci. Seburst mówił tonem pełnym goryczy, ale spokojnie:

— Statek Geilendortha zabrał mikrofilmy przedstawiające wszystkie arcydzieła, jakie stworzono na Ziemi.

— Statek Geilendortha rozbił się trzysta lat temu.

— T-tak, Glowe.

Uczułem coś w rodzaju litości dla jego wahania, dla uśmiechu, którego mogłem się domyślać, na jego twarzy.

— Dokąd jedziemy?

Nie odpowiedział mi, wskazał tylko ręką wzgórze nad Kamirą. Wkrótce zorientowałem się, że przemierzamy w odwrotnym kierunku drogę przebytą wczoraj. Pojazd ślizgał się ze szmerem po żalnie jak po ubitym śniegu. Sunęliśmy pod górę, stopniowo odsłaniały się przed nami łąki, morze, dalekie partie krajobrazu. Po lewej stronie mieliśmy już rezerwat. Weng Ti zatrzymał konie w tym samym miejscu, gdzie po raz pierwszy odkryliśmy główną drogę. Seburst wysiadł i rzucił jakby w odpowiedzi na moje niedawne pytanie:

— Mega.

Czyżbym o niej pamiętał bez tego przypomnienia? Nasz statek wydał mi się równie da-leki, jak Ziemia. Ruszyliśmy pieszo. Seburst tłumaczył pokrótce Magriniemu, że powinniśmy zapewnić sobie kontrolę nad ceną zawartością statku — narzędziami, instrumentami i bronią. Zwłaszcza nad bronią. Na Kljenje nie istniała w żadnej postaci. Najmniejsza jej część mogła nam zapewnić panowanie nad tym ludem. Sny o potędze! Słuchałem profesora z roztargnieniem, oczarowany na nowo widokiem rezerwatu. Co za bogactwo kształtów, barw, zapachów!... Jakże mogłem iść za biegiem myśli Sebursta?

Ujrzeliśmy wreszcie plażę i zeszliśmy ku niej. Ale jak daleko sięgał nasz wzrok, widzieliśmy tylko łagodne lśnienie żalmy zbiegającej do morza, tylko białą koronkę piany na grzbietach fal,

tylko zmienne barwy wody, w której się odbijały olbrzymie wstęgi na niebie i fiołkowe obręcze Uryksa.

Mega zniknęła.

*

„Porwał ją odpływ morza”... A jednak odnaleźliśmy ślady naszego lądowania, wyżłobione daleko od brzegu, na plaży. Wokoło ziały wąskie a głębokie dziury, w których tkwiły kable służące do przyholowania statku.

„Porwał ją odpływ”... Seburst powiedział to takim tonem, jakim wydaje się zakaz roztrząsania podejrzanej sprawy. Jego oczy miały twarde wyraz. Następnie przydzielił każdemu z nas ściśle określone zadanie. Ja miałem zbadać, dokąd prowadzi główna droga, i w razie potrzeby wrócić do miasta dopiero wieczorem.

*

Błądziłem godzinami po terenach rezerwatu, zatrzymując się co chwila to przed dziwnym listowiem, to przed koroną kwiatu, goniąc za świetlikami, tak jak robiły to dzieci, tylko po to, żeby pogłaskać ich delikatne, jedwabiste ciała, zajadając owoce o ciepłym mięszu, rozkoszując się swobodą tych niespodziewanych wagarów.

Kierowałem się w stronę drogi, ale nie spieszyłem się, by do niej dotrzeć. Była jednak w pobliżu, pośród przerzedzonej roślinności, toteż spostrzegłem na niej wracające do Miast oddziały Czarnej Gwiazdy: licznych jeźdźców i ciężko obciążone sanie. Byłem częściowo zakryty krzewami, tak iż nikt mnie nie zauważył. Oprócz jednego człowieka.

Dał on znak ręką, przysunął się z koniem do drugiego jeźdźca i zdawało się, że wydał mu lub przyjął od niego jakiś rozkaz. Potem zawrócił i podjechał do mnie.

Był to Hilgor.

Zeskoczył na ziemię, przywitał mnie zwykłym pozdrowieniem Klilyeny i zaproponował, że odda mi swego konia.

— A czyż tobie nie będzie potrzebny? — zapytałem.

— Znajdę sobie innego. Wracasz z wybrzeża?

— Szukaliśmy naszego statku...

— Zapewne porwało go morze...

Wyjaśnienie Sebursta. Ale tym razem towarzyszył mu swobodny, beztroski gest. Hilgor nie starał się wcale uzasadnić swego twierdzenia, widział aż nadto dobrze, że nie dam się nabrać, i pogodził się z tym stanem rzeczy.

— Na co wam ten statek? Czyżbyście chcieli odlecieć?

— Ach, nie!

Moja odpowiedź była tak spontaniczna, że jego oczy rozbłysły uśmiechem. Uważał, że tak jest dobrze. Dostosował swoje kroki do moich i poszedł w kierunku, w którym maszerowałem, zanim mnie spotkał. Wytłumaczyłem mu szczerze:

— Mam się dowiedzieć, dokąd prowadzi ta droga.

— Kto ci to polecił?

— Seburst.

— Kim on jest dla ciebie?

— Był moim szefem.

— Był?

Hilgor zatrzymał się, aby spojrzeć mi prosto w oczy. Obydwaj byliśmy zdziwieni: on, że usłyszał ten czas przeszły, ja, że go użyłem. Usiłowałem mu wyjaśnić, że nie ma to szczególnego znaczenia, ale Hilgor roześmiał się i z rozjaśnioną zupełnie twarzą powiedział:

— Wszystko w porządku, Peter Glowe.

Potem wskazując na szlak wysłany żalną dorzucił:

— Ta droga prowadzi do Zielonych Wrót. Jeśli chcesz koniecznie tam się udać, lepiej będzie pojechać konno.

Podał mi wodze swego konia i podszedł do drzewa pokrytego kwitnącymi lianami. Wyjął zza pasa nożyk z obsydianu, uciął nim dwie liany, oczyścił z liści i splótł przemyślnie. Poddawały się jego palcom, delikatniejsze i bardziej giętkie od sznurów.

Podniósłszy głowę, Hilgor zaczął znowu kroczyć u mego boku, dopóki nie ujrzał po drugiej stronie drogi stadka pasących się koni. Z widoczną przyjemnością i młodzieńczym zapałem rzucił się w ich stronę, zwolnił kroku znalazłszy się tuż przy nich, aby nie spłoszyć zwierząt, po czym wybrał młodego ogierka i zarzucił mu pętlę z lian na szyję. Po chwili szalonej galopady, kiedy człowiek i koń walili nogami o ziemię w tym samym rytmie, Hilgor zdołał opanować rumaka.

Jadąc na oklep, powrócił do mnie, szczerząc w uśmiechu olśniewające zęby, z głową otoczoną aureolą rozwianych włosów. Wskoczyłem na siodło i ruszyliśmy przed siebie.

*

Nasze wierzchowce kroczyły stępa, to znów puszczały się ostrym galopem, zanurzaliśmy się w głębokie doliny o bogatej roślinności, wjeżdżaliśmy na stoki pagórków, skąd wzrok sięgał rozświetlonego horyzontu. Całe godziny trwała ta swobodna, cudowna przejażdżka. Hilgor stał się z powrotem poważny, zdawał się nad czymś rozmyślać. Na szczycie ostatniej stromizny zatrzymał konia i wyciągnął przed siebie rękę.

— Oto Zielone Wrota.

Były jeszcze daleko, a droga wiodąca do nich przecinała kamienistą płaszczyznę o coraz to rzadszej roślinności. Spojrzenie opierało się następnie o podnóże gór i sunęło wzwyż po ich zboczach. Jasnoczerwony łańcuch Szkarłatnych Gór świecił oślepiającym blaskiem; wysoka bariera, teraz już bardzo bliska, obniżała się stopniowo dopiero w pobliżu morskiego wybrzeża, jak gdyby to spotkanie z wielką wodą skłaniało ją do wyrzeczenia się wysokości.

Ze wzgórze, gdzieśmy stanęli, mogłem się lepiej zorientować w ukształtowaniu wyspy. Góry przecinały ją murem nieomal w prostej linii. Przywarte do nich wybrzeże tworzyło podwójny łuk, rodzaj odwróconej cyfry 3; tam znajdowały się urodzajne ziemie. Pośrodku była zatoka, ujście rzeki, Miasta, z których środkowe,

Arkeja, dotykało swymi wzgórzami pierwszych wzniesień Szkarłatnych Gór.

Rzuciłem okiem na drogę. U stóp masywu górskiego urywała się gwałtownie przed rumowiskiem głazów o barwie zielonego jadeitu, kontrastujących z purpurą sąsiednich skał. Ręka ludzka wykuła w nich potrójną, monumentalną bramę. Była to jednak brama nie prowadząca donikąd, znacząca tylko kres, ślepa apsyda.

Hilgor jak gdyby czytał w moich myślach. Powiedział obojętnym tonem:

— Na drugim krańcu wyspy, tam gdzie się kończy droga przecinająca równinę Olosony, znajdują się takie same wrota.

— Do czego one służą?

— Podczas święta Trzech Księżyców stanowią metę wyścigu.

— I to wszystko? A co jest za nimi?

— Góry.

— A za górami?

Hilgor milczał. Z takim wyrazem twarzy patrzył na szczyty, jakby uosabiały niemożliwe do spełnienia marzenie. Powtórzył nie mogąc się oderwać od swej kontemplacji.

— Za górami...

Wreszcie odwrócił się, objął mnie spojrzeniem pełnym jeszcze dziwnego blasku.

— Peter Glowe — wyrzekł powoli — posłuchaj mnie uważnie, bo pewnych rzeczy nie powtarza się dwa razy. Nie wolno wyjść poza te góry. Żaden z mieszkańców Klijeny nigdy tam nie był. I ty nigdy nie będziesz.

— A ty, Hilgorze?

— Nigdy tam nie poszedłem i nie pójdę... nigdy...

Zawahał się, a ja wyobraziłem sobie, że w jego głosie zabrzmiał żal. Ale mój towarzysz dodał takim tonem, jakby chciał zaprzeczyć moim domysłom:

— Mamy przecież równiny Kamiry i Olosony, mamy Miasta i Dolinę Ośmiu Wodospadów... Żyjemy tak szczęśliwie... Czegóż

mielibyśmy szukać za górami?

— A jednak gdyby się ktoś odważył...

— Czarna Gwiazda czuwa. Nie pozwoliłaby na to.

— Jest więc tak potężna na Klijenie?

— Bardzo potężna.

— Mimo wszystko nie działa chyba bez ważnych powodów.

Czy ty je znasz?

Hilgor uśmiechnął się. Uniósł lekko łańcuszek podtrzymujący medalion na jego piersi. Odznaka składała się z szeregu małych płytek z elektrum, których cztery wklęsłe boki tworzyły razem rodzaj gwiazdy. Na każdej płytce wyryto jedną literę.

— Możesz przeczytać?

Łącząc po kolei litery, odcyfrowałem: „Czarna Gwiazda rozkazuje i słucha rozkazów”.

— To nasze hasło.

— „Rozkazuje”... rozumiem to. Ale komu jesteście posłuszni?

— Naszym przełożonym. Hanckowi.

— A kogo słuchają przełożeni?

W tej chwili ukazał się jeździec, w takim samym jak Hilgor mundurze, i skierował się w naszą stronę. Obaj mężczyźni ukłonili się sobie, zamienili kilka przyjaznych zdań, po czym przybysz odjechał w kierunku morza.

— Czarna Gwiazda czuwa! — uśmiechnął się do mnie Hilgor.
— A nasi przełożeni...

Poszliśmy machinalnie w ślad za końmi, które zboczyły na porośniętą trawą brzeg drogi i zaczęły się tam paść.

— Cała Klijena, Czarna Gwiazda i Hanck słuchają rozkazów Arkanta.

Hilgor mówił naturalnym tonem, jak gdyby nasza rozmowa nie miała większego znaczenia. Rozchylił gałęzie czerwonego krzewu i obsydianowym nożem wyciął ciężką kiść owoców w różowe i brunatne pręgi. W pobliżu rośla kępa młodych drzew rzucając lekki cień na trawę. Usiedliśmy u stóp białawych pni.

— Powiedziałeś „Arkant”, prawda?

— On jest tym, który wie. Ojcem nas wszystkich. Naszym

przewodnikiem.

— Myśmy go nie widzieli.

— Arkanta można zobaczyć tylko podczas święta Trzech Księżyców. I ty go ujrzysz.

— Kiedy jest to święto?

Hilgor odrywał z kiści owoce i podawał mi je, przecięte wzdłuż. Ich miąższ miał rozkoszną świeżość i cudowny smak.

— Nad Kalgarem świecą trzy księżyce, Glowe. Znasz je, prawda? Jeden wielki i dwa małe. Otóż kiedy wszystkie trzy ukazują się w jednym miejscu na niebie, tworząc trójkąt o równych bokach i kątach, nadchodzi czas święta. Najbliższe odbędzie się za cztery pełnie księżyca, to znaczy za cztery czterdziestodniowe miesiące.

— To jeszcze do niego daleko!

— Daleko?

Nie powiedział nic więcej, ale w jego wzroku wyczytałem serdeczny wyrzut. Czyżby przewidywał, czym będzie dla nas to święto, i że w swoim czasie dałbym wszystko, aby po-mnożyć dzielące mnie od niego dni, aby je przedłużyć, móc je przeżywać w nieskończoność.

Cienie drzew drżały lekko nad nami, promienie Uryksa oplatały szeregiem pierścieni młode pnie, jedliśmy soczyste owoce, które zaspokajały jednocześnie i głód, i pragnienie. W tej chwili czas bynajmniej mi się nie dłużył.

— Czy chcesz koniecznie dojść do Zielonych Wrót? — zapytał Hilgor.

— Nie.

— Wobec tego wracajmy. Dotrzemy do Miast, zanim się zaczną ulewy chmurnych godzin.

*

Chmurne godziny... Gdy galopowaliśmy w drodze powrotnej, mój towarzysz opowiedział mi, że w środku dnia napływają chmury niosąc z sobą ulewne deszcze. Ludzie nie wychodzą

wtedy z domów, odpoczywają, zapadają w krótką drzemkę. Tak więc chmurne godziny — w czasie kiedy nasila się upał długich dni — dają odprężenie, konieczną ochłodę, tak jak pora złotych zórz przerywa zabawą zbyt długie noce.

Rozmyślałem o tym wszystkim kołyszając się w siodle. Na Ziemi, gdybym obliczył czas, który upłynął od świtu, wiedziałbym, że nadchodzi wieczór. Ale tutaj Uryks stał wysoko na niebie, zbliżał się zaledwie do zenitu. Byliśmy przecież na Kalgarze, gdzie słońce świeciło przez dwadzieścia pięć godzin. Uczułem tajemny podziw dla tych zjawisk, dla ładu panującego wśród sił natury tak dziwnie, tak cudownie zharmonizowanych, jakby „ktoś” chciał pozwolić obcej rasie — naszej rasie — przybyłej z dalekiego świata, aby przystosowała się łatwiej do nowych warunków. Jednocześnie moje myśli wzlatywały wyżej, zapytywałem się o twórcę tych cudów, pana tych praw, o tego potężnego „kogoś”... Ale nie otrzymywałem odpowiedzi, wzrastała tylko moja ciekawość.

*

Burza złapała nas na wyniosłościach ponad Kamirą. Od dobrej chwili miałem poczucie, że przygotowuje się coś niezwykłego. Brunatne chmury zakrywały niebo, pozostawiając jakieś dziwne, przełamane światło, zdające się przesiąkać z ziemi. Drzewa i krzewy nabierały w nim baśniowych kształtów. Konie i sarny pędziły co sił wzdłuż drogi albo przebiegały przez nią w poprzek. Ptaki przyspieszały lot, śmigając w linii prostej.

— Burza, burza! — powtarzał Hilgor bodąc piętami wierzchowca.

W głębi mego jestestwa rodziło się dziwne napięcie. Błogość wypełniająca mnie od przybycia na Klijenę zmieniła się nagle w poczucie siły tak namacalne, jak gdyby drugie serce zaczęło bić obok dawnego, jakby zapłonęło we mnie ognisko radości, coraz większe, wypełniające moją pierś, a potem całe moje ciało.

— Burza... — mówił Hilgor; jego oczy błyszczały tak jak,

wiedziałem to, błyszcząły i moje. Wiedziałem też, że taka sama radość jak moja płonie w jego piersi.

Dojechaliśmy do miejsca, gdzie droga zaczyna schodzić w dół, ku Miastom. Ale mój towarzysz uznał widocznie, że nie zdążymy tam dotrzeć, i dawszy mi znak ręką, skręcił nagle w boczną dróżkę. Krótki galop doprowadził nas do wielkiego schronu: z ziemi wyrastała pochyła ściana z liedy, oparta z przodu na tworzących jak gdyby portyk, z rzadka rozstawionych blokach czerwono żyłkowanego kwarcu.

Schroniły się tam już zwierzęta: barwne ptaki, wiewiórki, sarny ze swymi wątlými sarniátkami, kilka koni. Wszystkie te stworzenia zdawały się oczekiwać na coś w ciszy, z drżeniem, a naszą obecność przyjęły spokojnie, tak naturalnie, jakbyśmy należeli do ich świata.

Hilgor, wciąż jeszcze zdyszany, tłumaczył mi pospiesznie:

— Codziennie mamy chmurne godziny, ale burza wybucha najwyżej raz na miesiąc. Burza, Peter Glowe...

Słowo „burza” wymawiał tak, jak mówi się „szczęście”. Właściwie powinno istnieć inne określenie, bogatsze i dźwięczniejsze, na rozpoczynające się widowisko.

Po niebie mknęły wełniste chmury, przeciągały czerwonawe runa, których kontury obrzeżała złotem resztką jasności dnia. Zrobiło się bardzo ciemno, jakby zapadła noc.

Nagle wytrysnęła pierwsza błyskawica: ognista strzała ciągnąca za sobą, rozwijająca na niebie olbrzymią, lśniącą sieć. Była to wielka spirala o regularnych okach, cała we frędzlach, szerokich fałdach i węzłach. Rozszerzała się i kurczyła kolejno w zupełnej ciszy, ogarniała powoli niebo dziwnym, pełzającym ruchem.

Nagle jedno oko pękło. Ujrzałem silniejszy błysk i prawie jednocześnie rozległ się melodyjny trzask, suchy jak uderzenie bicia, jak gdyby zerwała się gwałtownie zbyt napięta struna skrzypiec. Doskonale czysty dźwięk wibrował długo, zdawał się zanikać, po czym nasilał się znowu; wkrótce zaczęły mu wtórować inne dźwięki, inne trzaski, odmienne w tonie, ale tak

samo harmonijne, zwielokrotnione przez echo.

Przestrzeń nad nami była teraz jedną huczącą melodią, jednym wielkim pożarem. Gdyż powstawały nowe spirale rozdymając i ciągnąc w dal swoje ogniste sieci, zachodząc czasem na siebie, mieszając swoje oka i akordy tonów. Potwory o lędźwiach z brązu i złotych muskułach przeciągały się leniwie wśród chrzęstu błyszczących łusek.

Nie wystarczy powiedzieć, że byłem olśniony czy oczarowany — stałem się częścią owego widowiska, nie potrafiłbym powiedzieć, co pochodziło z zewnątrz, a co wypływało z moich uczuć, nie umiałem się oderwać od tej gry płomieni i od tej muzyki, od stojącego przy mnie Hilgora, od ptaków i sarn, od Kamiry leżącej u moich stóp... Zdawało mi się, że wspólne uniesienie nadawało nam nowe, niezwykle wymiary.

„Jony ujemne” — powiedziała by Seburst. Uśmiechnąłem się w duchu.

A potem, po długim, długim czasie, niebo jak gdyby przygasło, płomień rozegnał wiatr. Spadł deszcz, ciężki i gęsty, który zakończył czarodziejskie widowisko. Sprowadził nas z wyżyn marzenia jeszcze rozradowanych, ale już spokojnych, pełnych łagodnej szczęśliwości. Gdy wszystko zaczynało odżywać, gdy rosła jasność dnia, gdy ptaki wokół nas szczebio-cząc wygładzały piórka — Hilgor, oparty o blok górskiego kryształu, błędząc wzrokiem po obszarach Miast, wypowiedział dziwne zdanie:

— Nie wszyscy powrócą z tej krainy radości.

Jedna z sarn przysunęła się do niego pieszczotliwie. Pogłaskał ją lekko.

— W takim dniu ludzie umierają na Kljenje.

Nie mówił tego ze smutkiem, a widząc moje zdziwienie, zapytał z uśmiechem:

— Czy brałeś nas za nieśmiertelnych?

Zaczął mi tłumaczyć, poważnie i z prostotą, tak jak się poucza dzieci. A jakież to było piękne! Na wyspie nie znano chorób, cierpienia, fizycznego i duchowego upadku późnej

starości. Ludzi zabijała tylko radość. Gdyż pewnego dnia ci, których serca były bardzo długo, starcy, nie mogli znieść uniesienia odczuwanego w równym stopniu przez wszystkich w czasie burzy. Z uśmiechem zasypiali na zawsze, ogarnięci falą wzruszenia, szczęśliwsi niż w ciągu całego życia. Nazajutrz spokojny orszak odprowadzał ich do zbocza gór, gdzie czekały na nich małe, wykute w skale nisze.

Tak oto umierało się na Kalgarze. I Hilgor nadal wymawiał słowo „burza” tak, jak się mówi „szczęście”.

ROZDZIAŁ SZÓSTY TAJEMNICZY PRZEKAZ

Byłem pewien, że z wyjątkiem naszych zegarków wszystkie zabrane z Ziemi przyrządy zniknęły razem z Megą. Toteż zdziwiłem się ogromnie, gdy pewnego razu Weng Ti wydobył z kieszeni jeden z tych małych odbiorników radiowych zwanych Niss-3.

Byliśmy sami nad brzegiem morza. Weng Ti położył odbiornik na dłoni i zaczął manewrować maleńkimi pokrętłami.

— Czego chcesz posłuchać? — zażartowałem. — Może dziennika radiowego?

Rzucił mi szybkie, dziwne spojrzenie spod rzęs i nastawił aparat na głośniejszy odbiór. Rozległy się gwałtowne trzaski.

— Zakłócenia przemysłowe — wyraziłem domysł.

— Doprawdy? — spytał z ironiczną słodyczą Weng Ti. — Jakież tu mamy zakłady przemysłowe?

Rzeczywiście — jak się zdawało — nie odkryto jeszcze na wyspie elektryczności. Ale już inna myśl przysłała mi do głowy. Bo trzeszczenie cichło, powracało i ustawało znowu. Ustawało jak nożem uciął, przerwy zaś trwały bardzo długo, lecz powtarzały się w regularnych odstępach. Zaintrygowało mnie to w najwyższym stopniu.

— Jakiś szyfr?

Weng Ti wziął ołówek i bez trudu zaczął notować, za pomocą kropek i kresek, nadawany powoli tekst. Zapełniwszy kilka linijek, podał mi kartkę.

— Teraz tekst powtarza się od początku w nieskończoność — powiedział ścisząc odbiornik.

Zapis, który mi podał, chociaż podobny do zapisu alfabetem Morse'a, różnił się od niego zasadniczo. Kropki były zawsze zgrupowane po dwie, a kreski miały nie jeden, lecz trzy wymiary:

były krótkie, długie i bardzo długie.

— Spróbuj to przetłumaczyć — powiedziałem.

— Uważasz mnie za mądrzejszego, niż jestem w rzeczywistości — odrzekł Weng Ti.

Zaśmiał się, ale natychmiast spoważniał znowu.

— Gdybyś na jedną sekundę pokazał ten rebus Seburstowi, dopiero by skoczył do góry, chociaż tak samo jak my nic z niego nie rozumie!

Weng Ti obracał drugą ręką leżący na jego dłoni odbiornik — wielkiego owada, które-go zagadkowe brzęczenie ciągle do nas dolatywało.

— Przed trzystu laty ten sam tajemniczy przekaz — dokładnie ten sam — docierał pod postacią zmodulowanych fal do radioteleskopu w Milligan. Seburst prowadził tam wówczas studia nad Kalgarem. Potem ja strawiłem całe lata, próbując odczytać ten tekst!

— Weng Ti! Opowiadasz o tym z takim spokojem! Ale to przecież oznacza...

— Tak jest, to oznacza rozmaite rzeczy...

Patrząc w dal wzruszył lekko ramionami, jakby te rzeczy nie miały wielkiego znaczenia. Mimo wszystko dorzucił jeszcze:

— Oznacza to po pierwsze, że Kalgar był zamieszkany o wiele dawniej, nim ludzie zaczęli się domyślać jego istnienia. Po drugie, że ani statek Geilendortha, ani żaden inny przybyły z Ziemi nie przywiózł ludności na Klijenę. Być może zdarzyło się, odwrotnie, coś zupełnie innego.

— Co masz na myśli?

— Dochodzimy teraz — odparł z uśmiechem — do moich ściśle osobistych poglądów. Studiowałem kiedyś namiętnie ślady przypuszczalnego pobytu na Ziemi wysoko rozwiniętych istot z innej planety. Począwszy od świętych ksiąg Hindusów, które pod nazwą „wimana” opisują statki przybyłe z Kosmosu u zarania dziejów, poprzez sławetne latające talerze, spotykane w XX wieku, aż do naukowych relacji naszych kosmonautów — dysponujemy niezliczoną ilością możliwości. Wobec tego czyż

takie maszyny nie mogły być wysłane z Kalgaru? Kto wie, czy rasa ludzka nie wywodzi się od mieszkańców Klijeny? Chyba że obydwie pochodzą z trzeciej planety, której potężni władcy osadzili tu i tam we wszechświecie grupki swoich potomków, tak jak uczeni umieszczają bakterie na pożywce z bulionu i od czasu do czasu przychodzą obserwować ich rozwój.

— Wspaniałe hipotezy... Ale wróćmy może do komunikatu. Słaby zasięg naszego odbiornika pozwala chyba twierdzić, że przekaz pochodzi z terenu tej wyspy.

— Oczywiście. Spytasz zaraz, jakie stąd wyciągam wnioski. Otóż przyjąwszy za pod-stawę to, co wiemy o tutejszym ludzie, moje skromne odkrycie może oznaczać dwie rzeczy: albo Czarna Gwiazda prowadzi tajemny, nie znany nikomu żywot, posiada w głębi gór labo-ratoria i arsenały oraz ma ważne powody je ukrywać... Albo też...

Przerwał, gdyż kilka młodych kobiet szło w naszą stronę. Ale skrzyły w sąsiednią dróżkę, powitawszy nas miłym uśmiechem. Weng Ti odprowadził je wzrokiem i podjął na nowo:

— Albo też wszyscy mieszkańcy Klijeny, nie wyłączając Czarnej Gwiazdy, są jedynie zdegenerowanym potomstwem jakiejś wspaniałej, prada-wnej cywilizacji. Wyobraź sobie, że początkowo ludzie stojący na najwyższym szczeblu rozwoju zamieszkiwali cały obszar Kalgaru i że udało im się wytworzyć cały system fal łączących wszystkie miasta i wszystkich ludzi między sobą, fal, które przenosiły nie tylko dźwięki i światło, ale również energię, ciepło, myśl... Nauka doprowadzona do takich wyżyn ociera się o niebezpieczne granice. Jeśli jakaś nieprzewidziana zmiana, jakieś promieniowanie kosmiczne zakłóci działanie systemu, wszystko może wybuchnąć. Albo się stopić. W ten sposób można by wytłumaczyć istnienie zamartwych kontynentów, nad którymi przelatywaliśmy niedawno. A co się tyczy Klijeny, to prawidłowe funkcjonowanie umieszczonego tutaj nadajnika międzygwiazdowego wymagało zapewne wyłączenia wyspy z niebezpiecznej sieci. I temu zawdzięcza ocalenie, ale jej mieszkańcy powrócili do stanu prada-wnej

prostoty, licząc pokolenia nowej ery od czasu straszliwej katastrofy.

— A ten komunikat?

— Jeżeli stację nadawczą zasilają baterie słoneczne, nic nie stoi na przeszkodzie, aby działała samoczynnie przez całe stulecia.

— Bez wiedzy mieszkańców Kljeny?

— Prawdopodobnie bez ich wiedzy.

— Powiedzmy. Ale czyżby cię nie zdumiewał fakt, że ten lud odwrócił się tak radykalnie od naukowej cywilizacji swoich przodków?

— Wystarczającą przyczyną mógłby być strach przed powtórzeniem się kataklizmu.

— Dużo rozmawiałem z mieszkańcami Kljeny i nigdy nie natrafiłem na najmniejszy ślad strachu przed katastrofą czy wspomnienia o niej.

Weng Ti nie upierał się przy swoim zdaniu.

— Może przyczyna jest inna — powiedział. — Może to sprawiła wrodzona bez troska, może powietrze Kljeny...

Spojrzał na mnie z ukosa, zawahał się, po czym dokończył:

— A może Czarna Gwiazda...

Zamyśliłem się. Jeżeli to cofnięcie się było akcją świadomą, oczywiście tylko Czarna Gwiazda... Ale czym się kierowała? I dlaczego Weng Ti...

— Czemu nie omówiłeś tych spraw z Seburstem?

— Czy uważasz, że Seburst nie ma i bez tego dostatecznej ilości kłopotów?

— Ale dlaczego mnie o tym mówisz? Jestem tylko skromnym pracownikiem Kosmosu, a ty jednym z najznakomitszych naszych naukowców. W czym mógłbym ci pomóc?

Weng Ti nie patrzył teraz na mnie, jego wzrok błędził po obszarach morza. Myślałem, że zapomniał o moim pytaniu. Żółtawe światło słońca zdawało się modelować na nowo jego twarz. Ale to raczej skądinąd, z większej dali czy z większej głębi, płynął ten blask, który odmienił nagle jego rysy i oczy. A kiedy mi

odpowiedział, jego głos był dziwnie przyciszony i łagodny — miałem wrażenie, że słyszę zwierzenia brata.

— Najbliższy prawdziwego szczęścia byłem za czasów dzieciństwa. Miałem tylko dziadka, starego ogrodnika mieszkającego w Kenlandii. Miał złote serce i kochał mnie. Wszystkie wakacje spędzałem na jego małej farmie. Nie opuszczałem go na krok, słuchałem jego opowieści o zwierzętach i roślinach, troszcząc się razem z nim o pąki na drzewach i zasiewy. Kiedy umarł, a ja dorosłem i całe moje życie wypełniły cyfry i problemy naukowe, odczułem to jako krzyżującą niesprawiedliwość. Ileż razy chciałem zgnieść w jedną kulę moje książki i całą moją wiedzę, cisnąć ją i podeptać nogami... A potem wrócić do mego rajy w Kenlandii. Rozumiesz mnie, prawda? Teraz, kiedy na Klijenie urzeczywistnił się ten szaleńczy sen, i to w stokroć piękniejszym kształcie, wybieram Klijenę. Dlaczego powiedziałem ci o tamtym tajemniczym przekazie? Żeby móc o nim zapomnieć. Dziś rano wyszedłem z zamiarem pozbycia się odbiornika. Kiedy cię jednak spotkałem, pomyślałem sobie, że należy dać komuś możliwość zgłębienia zagadki, jeśli zechce się nią zająć. Decyduj teraz! Łatwiej ci to przyjdzie niż mnie!

Podobnie jak długodystansowcy przekazują sobie pałeczkę, podał mi odbiornik, wielkiego czarnego żuka, który brzęczał monotonnie w mojej dłoni. Miałem się zdecydować? Czyż nie zrobiłem tego już od dawna?

— Powiem ci otwarcie, Weng Ti... Jeśli istnieje gdzieś na tej wyspie idiotyczna machina, która od wieków powtarza wiadomość przez nikogo nie nadawaną i przez nikogo nie słuchaną, to fakt ten nie ma żadnego znaczenia. Jeśli zaś, przeciwnie, chodzi tu o coś poważnego, to niezależnie od naszej woli będziemy w tę sprawę wmieszani. Wobec tego...

Z jednakowym uśmiechem spojrzeliśmy obaj na morze. Jak para zwolnionych z lekcji uczniów przebiegliśmy kilka metrów dzielących nas od plaży i stanęliśmy dopiero na skraju toni.

Nie potrzebowałem nic robić, bo Weng Ti wyjął mi śpiesznie odbiornik z ręki i przypomniawszy sobie gest chłopca

puszczającego „kaczki” na sadzawkach Kenlandii, cisnął mały aparat do morza, gdzie pochłonęły go fale.

Roześmieliśmy się uszczęśliwieni. Zwróciwszy się w stronę Klilyeny, objęci ramionami, maszerowaliśmy ze śpiewem w kierunku Miast.

ROZDZIAŁ SIÓDMY CUDOWNY KRAJ

Od tej chwili aż do święta Trzech Księżyców troszczyłem się jedynie o to, by zapoznać się jak najlepiej z pasjonującym życiem goszczącego nas ludu.

Z wyjątkiem członków Czarnego Bractwa, których kształcono od dzieciństwa w specjalnych kolegiach, w wychowaniu kładziono głównie nacisk na sporty i sztuki piękne. Stąd być może wynikało u naszych gospodarzy zdumiewające połączenie ogromnej siły fizycznej z łagodnym i pełnym życzliwości usposobieniem. Sama myśl o kłótni czy obmawianiu drugiego człowieka wydawała się zupełnie im obca. Każdy odnosił się przyjaźnie do bliźnich, cieszył z ich istnienia, pochwalał ich działalność. „To są święci” — utrzymywała całkiem serio Grinje.

Mieszkaliśmy nadal u Fendola, zachwyceni gościnnością tej rodziny, coraz bardziej przez nas lubianej. Dzięki niej poznawaliśmy świetnie obyczaje panujące na Klijenie.

Żywności dostarczały wyłącznie rośliny: oprócz niezliczonych owoców dawały także rozmaite napoje, mleczka i mączki. A nawet rodzaj „mięsa”, jeśli określić tym słowem brzu-chate strąki pewnych warzyw, które, upieczone na węglach, zamieniały się w wyśmienitą, pożywną potrawę.

W ogrodzie Fendola rosła taka ilość warzyw i drzew owocowych, że mogłyby wyżywić kilka rodzin. Jego stół ugiął się od najróżniejszych produktów. Kiedy ktoś miał ochotę na odmianę, chłopcy szli do sąsiedniego ogrodu, potem do następnych, bo we wszystkich murach znajdowały się furtki, których nigdy nie zamykano. Powracali niosąc kosze owoców, w towarzystwie dzieci sąsiadów, które ze swej strony postępowały tak samo.

Była to hojna wspólnota, zamiany bez obrachunków, gdyż każdy uważał za zaszczyt, że jego właśnie wybrano na ofiarodawcę.

Wobec tej obfitości najbardziej dziwił fakt, że nie zrodziła ona lenistwa. Ten lud był aktywny z natury, pracował kierowany instynktem, dla przyjemności, w taki sam sposób, w jaki bawią się dzieci. Fendol zdziwił się ogromnie, kiedy go zapytałem na początku naszego pobytu, jaka praca zostanie nam przydzielona.

— Taką, jaką sobie wybieriecie — odpowiedział.

— A jeśli nie wybierzemy żadnej?

— To spróbujecie wszystkich po trochu.

Uśmiechał się dobrodusznie; myśl, że moglibyśmy siedzieć beczynnie, nie przyszła mu nawet do głowy. Zresztą ciągła zmiana rodzaju pracy wydawała się regułą na Klijenie. Przechodziło się od jednego zajęcia do drugiego, od jednego warsztatu czy pracowni do innych, zależnie od ochoty.

Nic nie mogło w miły sposób zadowalać mojej ciekawości. Wykonywałem po kolei wszystkie możliwe prace, należąc do coraz innych zespołów roboczych. Pracowałem z murarzami modelującymi liedę, z cieślami budującymi łodzie z jedliny, z robotnikami zbierającymi włókna serylierów, z farbiarzami, którzy je zanurzali w ogromnych kadziach, gdzie parowały płyny o jaskrawych barwach. Poznałem sztukę złotników, wytapiaczy i rytowników klejnotów z elektrum, a także wesołe pracownie garncarzy, gdzie toczono prześliczne dzbany. Z młotkiem w ręce, pod kierunkiem majstrów kamieniarzy, obrabiałem z grubsza bloki kolorowych kryształów; z podziwem patrzyłem później, jak dłuta artystów wydobywały uwięzione w nich arcydzieła — te, które sami wymarzyli, i te, które odtwarzali patrząc na małe gliniane modele. Te ostatnie wzruszały mnie najbardziej, gdyż ich piękno było mi bliskie i znane — zdawały się przybywać z Ziemi, mojej dalekiej ojczyzny.

Ale ze wszystkich prac najbardziej lubiłem łupanie krystalicznych skał. W pierwszych wzniesieniach pogórza znajdowały się liczne kamieniołomy, gdzie cud mineralnych

przemian sprawił, że dojrzały i zachowały się, ściśnięte jak stronicie książki, wspaniałe witraże zdobiące okna domów na Kljenje.

Należało najpierw wydobyć ciężkie bloki, wyrównać ich ściany o blaszkowatej budowie, a potem wsunąć pod pierwszą warstewkę cały szereg płaskich dłut. Następnie, kiedy rozchylenie było dostateczne, zastępowały je cienkie wałki z elektrum, które toczono i przyciskano z niezmierną ostrożnością. Powoli, ze zgrzytem i trzeszczeniem, oddzielał się ogromny arkusz, po czym podnoszono go i oglądano pod światło, żeby ocenić jego piękno. Każdy z nich stanowił niespodziankę, bo chociaż tło w tym samym bloku było zawsze jednakowe — różowe, błękitnawe, złote lub przejrzyste jak szkło — rysunek żyłkowania zmieniał się w poszczególnych warstwach; kwiaty, paprocie, arabeski, płatki śniegowe tworzyły leciutkie desenie, które witaliśmy okrzykami zachwytu.

Przy pracy starsi mężczyźni nosili obcisłe spodnie, sięgające do pół łydki, i koszule sznurowane na piersiach tasiemką o jaskrawych barwach. Dorastający chłopcy i młodzi mężczyźni zadowalali się najczęściej zwykłymi szortami.

W miarę jak upływały godziny, Uryks powlekał opalenizną nasze ręce, nogi i torsy. Wystarczy mi zamknąć oczy, aby poczuć znów na powierzchni ciała jego promienie, równie kojące jak odpoczynek na ciepłym piasku plaży. Wreszcie zwiększony żar oznajmiał nam, lepiej niżby to zrobił zegar, że czas kończyć pracę. Wracaliśmy do domów.

Tak bywało w połowie dnia, przed chmurnymi godzinami, i tak bywało wieczorem. Odnajdywaliśmy kobiety w chłodzie ogrodów, pod portykami domów. Krzątały się jeszcze w towarzystwie sąsiadek przy prymitywnych warsztatach tkackich, na których powstawały pod ich cierpliwymi i zręcznymi palcami owe bogate, przez wszystkich noszone tkaniny. Kiedy indziej zajmowały się krojeniem ubrań, haftem lub też dekorowały za pomocą pędzelków brzuchate naczynia z gliny. To znów, przygotowując posiłek, piekły wykwintne ciastka, których

aromat snuł się długo po podwórzach.

Dzieci wracały ze szkoły i przez chwilę brały udział w naszych rozmowach. Ale nie potrafiły utrzymać długo powagi. Zaczynały się wkrótce zaczepki i hałaśliwe gonitwy, a radość nie miała granic, kiedy się udawało wciągnąć do gry osoby dorosłe. I aż do chwili gdy wraz z posiłkiem nastawał spokój, dom wypełniały zabawy, śmiechy, bitwy kwiatowe.

Podawano do stołu. W połowie dnia jadalśmy w głównej sali. Wszyscy zasiadali wokół masywnego stołu, zrobionego z przejrzystej, świecącej materii, i zaczynały krążyć półmiski: małe, smakowite owoce pobudzające apetyt, inne pieczone na ruszcie lub smażone czy też marynowane w ostrych sokach i aromatycznych ziołach. Z innych jeszcze owoców, roztartych, robiono doskonałe kremy, w których rozgryzało się ziarenka o smaku migdałów. Zimne napoje płynęły obficie z dzbanów, pieniać się mnóstwem banieczek w kryształowych czarkach.

Wymienialiśmy pogodne uwagi, śledząc poprzez światło witraży nadejście chmurnych godzin. Posiłek dobiegał końca, wszyscy wstawali z miejsc, aby popatrzeć, jak pada rześisty, dobroczynny deszcz. Później, w omroczniałym domu, każdy wracał na krótki odpoczynek do swego pokoju i zapadał w sen.

Gdyśmy się budzili, przyroda była równie świeża, jak o brzasku. Rozpoczął się jak gdyby nowy dzień.

Wieczorny posiłek jadalśmy w ogrodzie. O tej porze liczba biesiadników nigdy nie była określona. Uroczy, szeroko stosowany zwyczaj pozwalał krążyć od domu do domu, przysiadać się do różnych stołów bez zaproszenia i bez ceremonii, dla samej przyjemności przebywania w gronie znajomych. Nie zapowiadziany gość wchodził, uśmiechał się, zasiadał przy stole, jakby był u siebie w domu. Czasem, kiedy nie starczało już miejsc, przybysz zamieniał z gospodarzami kilka uprzejmych zdań i wędrował dalej, do sąsiedniego domu. Magrini, Yena i Weng Ti brali często udział w naszych posiłkach przy stole Fendola. Niekiedy zjawiał się także Hilgor.

Pewnego wieczoru, patrząc na odznakę Zakonu lśniąca na

jego piersi, ośmieliłem się zapytać go znowu:

— Co znaczy ten rodzaj uchwytów podobnych do promieni?

Siedzieliśmy na uboczu, obserwując, jak światło dnia przygasa w ogrodzie. Powiew wiatru niósł zapachy kwiatów, świetliki krążyły nad krzewami, coraz bardziej błyszczące w miarę jak zapadała noc.

— I dlaczego odznaka nie jest czarna?

Zdawało się, że Hilgor dopiero teraz mnie usłyszał.

— Dla nas najważniejszą cechą tej gwiazdy jest to, że może również wysyłać promienie.

— Ta gwiazda, powiadasz? A więc istnieje w rzeczywistości, nie tylko jako nazwa waszego Zakonu?

— Oczywiście, że tak.

— Czy to Uryks?

Zaprzeczył potrząsnąwszy głową.

— Czy może Kalgar?

— Nie, nie Kalgar. Ale los naszej planety jest tak ściśle z nią związany, że można by również powiedzieć: Czarna Gwiazda i Kalgar to jedno.

Nie chciał mi nic więcej powiedzieć. A ja wyobraziłem sobie sąsiednią planetę, skąd rządzą nami potajemnie baśniowe istoty i skąd, być może, pochodzą przekazy nadawane dziwnym alfabetem Morse'a.

Siedzieliśmy w milczeniu. Była to pora, w której zwierzęta porzucały zwykłą płochliwość. Sarny i gazy podchodziły do stołów, dopominając się o pieszczotę, a wiewiórki biegały pomiędzy półmiskami; pozwalano im podkraść resztki maleńkimi, niemal ludzkimi rączkami aż do chwili, kiedy znużone układały się na naszych kolanach i często tam zasypiały.

Nadejdzie noc i sen, a potem pora złotych zórz i zabawy pod Głównym Sklepieniem. A później nowy dzień i jeszcze jedna noc... Doprawdy, czyż istniały ważniejsze od tego sprawy?

*

Tydzień składał się tylko z sześciu dni, z których ostatni odpowiadał naszej niedzieli. Tego dnia najchętniej odwiedzano Dolinę Ośmiu Wodospadów leżącą powyżej Arkei. Tam, na obu brzegach rzeki, znajdowały się stadiony i teatry pod gołym niebem. Walki atletów, wołyżerka, zawody konne i wyścigi wozów przeplatały się ze spokojniejszymi rozrywkami, jak teatr, śpiewy i tańce.

Bawił nas ogromnie tutejszy „ogród zoologiczny”, gdyż jego pensjonariuszy uważanych za niezwykle okazy w obrębie niewielkiego okólnika, znaleźliśmy na Ziemi jako mieszkańców wiejskich podwórek. Na tym właśnie polegało zadziwiające zjawisko: zwierzęta żyjące na Klijenie wybrano tylko ze względu na ich piękno. Sarny i gazyłe rozmnażały się tu swobodnie, ale krowy, świnie i drób — niepotrzebne, skoro owoce dostarczały całej żywności — zachowano jako gatunki pokazowe.

To samo dotyczyło ptaków: gołębie i wróble można było spotkać wyłącznie w wolierach Doliny Ośmiu Wodospadów, gdy tymczasem znakomici śpiewacy i skrzydlaci pięknie, jak słowiki, rajskie ptaki i kolibry, zachwycały nas na wolności. Podobnie rzecz się miała z motylami i innymi owadami.

W tej to dolinie, w świąteczny dzień, niespodziewanie podszedł do mnie Seburst.

ROZDZIAŁ ÓSMY SPRZYSIĘŻENIE

Seburst... Czyżbym o nim zapomniał? Jego postępowanie wydawało się dziwnie nielogiczne. Początkowo nie chciał uznać Kalgaru takim, jakim go zastał, i starał się rozpaczliwie realizować dalej swoje marzenie: chciał stworzyć coś, co by wynikało tylko z jego woli, królestwo, którego byłby jedynym panem. Próbował utrzymać Wenga Ti, Magriniego i mnie w ścisłej zależności od siebie, dręcząc nas osobliwymi poleceniami, misjami mającymi na celu zbieranie informacji lub propagandę. Sam usiłował przyciągać mieszkańców Klijeny i wykazywać im, że rządzą się niedobrymi prawami.

Kilkakrotnie byłem świadkiem jego przemówień. Na początku słuchacze wydawali się zaskoczeni, ulegali bez wątpienia jego straszliwej sile przekonywania. A potem powtarzała się niezmiennie ta sama scena. Pojedynczo, niespiesznie zebrani rozchodzili się zostawiając Sebursta sam na sam z jego rozczarowaniem.

„Są nieuchwytni jak wiatr” — powiadał.

Gdyż w tym czasie nie zwrócił jeszcze uwagi na ciemno ubrane postacie, które chodziły za nim krok w krok. „Czarna Gwiazda czuwa!” Cień ukazujący się za mówcą, jeden gest, jeden znak, zwykłe spojrzenie rzucone na słuchaczy — były rozkazem, do którego ściśle się stosowano.

Myślę, że Seburst zdał sobie wkrótce sprawę z tych manewrów. Bo jego postępowanie zupełnie się zmieniło. Pewnego dnia, z zaciętym wyrazem twarzy, polecił nam w krótkich słowach zapomnieć o poprzednich instrukcjach i żyć jak nam się podoba, zyskując zaufanie naszych gospodarzy. „Bądźcie tylko gotowi wypełniać w każdej chwili moje rozkazy”.

Powiedziawszy to, oddalił się i przez dłuższy czas nie

widywaliśmy go prawie wcale. Mieszkał w jednym z pawilonów na zamku Czarnej Gwiazdy — sądziliśmy, że Hanck zdecydował się na to, aby mieć go stale na oku. Ale czyż to ostrożne posunięcie nie mogło wywołać wprost przeciwnych skutków? Czy Hanck doceniał należycie osobisty urok Sebursta, jego żądze władzy, jego wolę równie upartą jak przywiązanie do życia? Lud nie powinien był znać buntowniczych przemówień, ale Czarna Gwiazda uważała się za dostatecznie silną, aby ich wysłuchać, aby na nie odpowiedzieć. Kto będzie górą w tej grze?

Seburst poruszał się wyłącznie w towarzystwie oficerów i gwardzistów, przy czym z tygodnia na tydzień widać było, jak rosną jego wpływy na otoczenie: strażnicy robili wrażenie podwładnych, a więźni — rozkazodawcy.

*

Zdałem sobie sprawę z wagi tej przemiany dopiero w ów świąteczny dzień w Dolinie Ośmiu Wodospadów. Siedząc na skarpie osypanej żółtymi kwiatkami, przyglądałem się popisom na wodzie. Pomędzy trzecim a czwartym wodospadem łóżysko rzeki rozszerzało się w ogromną wodną płaszczyznę, gdzie odbywały się zawody w nurkowaniu i pływaniu, regaty i walki zapaśnicze.

Zaczynało się właśnie ćwiczenie zwane „latającą rybą”. Powyżej trzeciego wodospadu znajdował się na rzece zawodnik zaopatrzony w narty wodne, z wielkimi skrzydłami z jedwabistej tkaniny u ramion, którego ciągnęły konie galopujące wzdłuż obydwu brzegów. Ich rozpęd połączony z siłą prądu doprowadzał zawodnika na skraj wodospadu ze znaczną szybkością. Puszczając wtedy linki i potężnym rzutem lędźwi odrywał się od nurtu w tym właśnie miejscu, gdzie woda spadała w dół. Następował wzlot, pęd ku górze, niezwykle emocjonujący dla widza patrzącego z dolnego odcinka rzeki.

Podtrzymywany skrzydłami człowiek szybował zręcznie, czasami na bardzo długim odcinku, pociągając za sobą całą

flotyllę kajaków aż do punktu, w którym osiadał na wodzie. Wioślarze wyskakiwali wtedy ze swoich łódek, aby go podtrzymać i uwolnić od skrzydeł, czemu towarzyszyły hałaśliwe wybuchy wesołości, opryskiwanie się wodą i znowu krzyki i śmiechy.

— Cóż to za dzieciaki! — usłyszałem za sobą ironiczną uwagę.

Seburst usiadł obok mnie. Zmienił się, a raczej stał się na nowo takim, jak dawniej: pełnym zdecydowania, autorytetu i tej pewności siebie, którą daje powodzenie.

— Straciłem sporo czasu — ciągnął dalej — bo nie od razu zrozumiałem, że z dziećmi nie należy dyskutować.

Przestał patrzeć na pływaków, poszukał wzrokiem mojego spojrzenia.

— Uważałeś, że mnie zwyciężono, Glowe? Powiedz szczerze!

— Zwyciężono?

— Na szczęście rycerze Czarnej Gwiazdy to ludzie dorośli, świadomi. Zupełnie inna rasa. Dzierżą w swych rękach władzę, toteż na nich należało podzielać i tak właśnie zrobiłem. Wspólnie przebudujemy Kalgar, rozbudzimy ten naród pogrążony w błogim śnie. Najwyższy na to czas. Popatrz...

Gwałtownym ruchem wbił w ziemię swój sztylet z obsydianu. Uryks chylił się już ku zachodowi i od noża przyłgnał do ziemi długi, prosty cień. Seburst zerwał źdźbło trawy i położył je na cieniu.

— Popatrz. Jeżeli będziesz miał cierpliwość śledzić dostatecznie długo drogę tego cienia...

— Ja wiem, profesorze.

Poczułem się nagle bardzo zmęczony. Wspomniałem pierwszą noc w domu Fendola, kiedy dostrzegłem poprzez pułap z liedy przesuwającą się plamę księżyca. Później i to zjawisko, i inne podobne zaniepokoiły mnie kilkakrotnie. Mimo woli natknąłem się na tajemnicę, tak jak w wypadku odbiornika Niss-3, po czym wygnałem ją ze swoich myśli, zataiłem, próbowałem o niej zapomnieć, być może po to, aby nie dociekać, jaką groźbę w

sobie zawiera. Jednakże w spojrzeniu Sebursta tkwiło tak uporczywe pytanie, że musiałem na nie odpowiedzieć:

— Cień będzie się przesuwiał nieregularnie, cofając się niekiedy...

— I... zrozumiałeś, co to znaczy?

Błądziłem wzrokiem po wyspie. Za rzeką jaśniały pagórki Olosony, a dalej rozciągało się morze. Tak, zrozumiałem.

— Ta wyspa unosi się na falach...

Seburst zaśmiał się bezgłośnie.

— Powinna wobec tego dryfować, nieprawdaż? A czy wyciągnąłeś stąd wniosek?

Jego wzrok wpijał się we mnie bez litości. Musiałem odpowiedzieć, chociaż byłem wściekły, że mnie przeniknął.

— Nie wyciągnąłem żadnego wniosku.

— Nie miałeś odwagi!

— Jak pan uważa.

— Przeraziłeś się tego, co mógłbyś odkryć. Woląłeś drzemać w tej atmosferze spokoju, którą nazywasz...

— Jak pan uważa, profesorze.

Stał wyprostowany, wsunąwszy dłonie za pas, mocno wsparty na nogach. W jego głosie zabrzmiało lekkie szyderstwo:

— A ja, przeciwnie, wyciągnąłem wniosek. Czy się uspokoisz, jeśli cię zapewnię, że Klijena nie dryfuje? Tak? Być może nie miałbyś racji... I jeszcze jedno: kiedy następuje przypływ, czyż Klijena nie powinna podnosić się z nim razem, tak jak zrobiłby to statek czy każdy inny pływający przedmiot? Tymczasem, jeśli się przejdiesz po jej wybrzeżach, spostrzeżesz, że woda dosięga różnych poziomów, odległych nieraz od siebie o kilka metrów. Czy cię nie intryguje ta wyspa obracająca się, choćby nieznacznie, wokół swojej osi, ale niewrażliwa na ruchy morza jak pława przytwierdzona łańcuchem do dna? Czyżby nie miały nad nią władzy podstawowe prawa fizyki?

— Jak pan to tłumaczy?

— Otóż właśnie! Nie rozumiem tego wcale.

— A Hanck?

— Tak samo. Ani żaden z członków Czarnej Gwiazdy. Ale uświadomiłem już oficerom wagę tych zagadnień, niebezpieczeństwo, jakie się w nich zapewne kryje, i konieczność posiadania wiedzy.

Jego spojrzenie pobiegło ponad moją głowę i spoczęło na szczytach gór; po lśnieniu odbitym w jego oczach domyśliłem się ich płomiennego blasku, ich fascynującej i drażniącej tajemnicy.

— Wiedza! Kiedy nikt nie zna nawet przeciwległych zboczy tych gór! Czy pomyślałeś o tym, że wobec tempa, w jakim wzrasta tutejsza ludność, za kilka pokoleń wymrze z głodu? Mimo swej niezwyklej żywności Klijena jest tylko kwitnym ogrodem. I to małym ogrodem. A tymczasem istnieją na Kalgarze inne obszary. Przelatywaliśmy nad nimi.

— Bezpłodne klejnoty...

— Co możesz o nich wiedzieć? Jestem najmocniej przekonany, że ta szklista powłoka, którą widzieliśmy w dolinach, stanowi jedynie glazurę. Tak jest właśnie u stóp Szkarłatnych Gór. Gdyby się zerwało tę łupinę — mającą być może parę centymetrów grubości — ukazał-by się grunt równie urodzajny jak na tej wyspie. Gdyby mi pozwolono zbudować dalekomorskie statki...

Radosne okrzyki zagłuszyły nagle słowa Sebursta: to dzieci utworzyły na wzgórzu długi korowód. Śledząc oczyma ich pląsy, profesor mówił dalej:

— Będzie to dzieło olbrzymie. Należy przebudować całą cywilizację. Trzeba nam techników, inżynierów... Czarna Gwiazda godzi się już na to i opracowaliśmy wspólnie nowy program nauczania. Wkrótce te dzieci przestaną się zajmować śpiewem i tańcami. Będę potrzebował Magriniego, Wenga Ti, ale przede wszystkim ciebie, Glowe...

Korowód dziecięcy pomknął ku brzegowi rzeki, ocierając się o nas po drodze, ogłuszając nas krzykiem. Malcy, ustrojeni w kwitnące pnącza, śmiali się w głos. „Wkrótce te dzieci”... Serce zalała mi gorycz.

— Mówi pan tak, jakby pan był Arkantem — spróbowałem

zaoponować.

— Będę nim wkrótce.

— A więc rewolucja?

— Nie, zwykła zmiana osoby urzędującej. Wszelkie prawa na Klijenie pochodzą od Arkanta. Żadna reforma się nie przyjmie, jeśli on jej nie nakaze. Ani lud, ani nawet Czarna Gwiazda nie mogą mu się sprzeciwić. Jest zatem rzeczą konieczną, abym objął to stanowisko.

— Liczy pan na to, że Arkant pana powoła?

Pytanie ubawiło najwidoczniej Sebursta. Wydał coś w rodzaju ironicznego pomruku, stłumionego w głębi piersi śmiechu, i zwrócił oczy na odnogę łańcucha górskiego schodzącą w pobliże Arkei.

— Władza należy do tego, kto ją sprawuje. Arkant drzemie w swoim zamku z chalcedonu, a jego gwardia przyboczna nie ma, jak się zdaje, innego zadania oprócz zaparzania dla niego ziółek. Powinien stać na czele Czarnej Gwiazdy, a tymczasem mnie pozostawia tę rolę. To wielka nieostrożność z jego strony.

— Czyż Czarna Gwiazda poszłaby za panem przeciw Arkantowi?

— Zdaje się, Glowe, że mnie nie doceniasz.

Moja niewiara przykro go dotknęła. Zrobił znak podniesioną w górę ręką i natychmiast zjawił się strażnik, członek Czarnej Gwiazdy, który znieruchomiał przed nim, pełen szacunku, jakiego wymaga hierarchia wojskowa.

— Proszę mi tu przysłać Hilgora. Jest w drugim kąpielisku.

Tak, zapomniałem, jaką potęgę uosabiał Seburst. Dziwna siła przyciągania, która za pomocą jednego spojrzenia, jednego słowa, jednej intonacji potrafiła zapewnić mu bałwochwalczą miłość tylu ludzi na Ziemi, przed którą ja sam broniłem się często z takim trudem! Wdzięk, autorytet, magnetyczną siłę odnalazłem w tej chwili w całej ich pełni. Cóż w tym dziwnego, że prostoduszni mieszkańcy Kljeny, a nawet członkowie Czarnej Gwiazdy nie zdołali się im oprzeć!

Kiedy zjawił się Hilgor, Seburst powiedział sucho:

— Prosiłem cię, abys nic nie wyjawiał moim towarzyszom, gdyż uważałem za rzecz korzystną udawać, żeśmy się poróżnili. Ale od dzisiaj możesz już mówić. Głowe ci ufa. Powiedz mu, co sztab Czarnej Gwiazdy myśli o moich planach.

— Wprowadzimy je w życie po święcie Trzech Księżyców.

— A jeśli Arkant się temu sprzeciwi?

— Wtedy zastąpi go ktoś inny.

Nigdy nie widziałem u Hilgora takiego wyrazu twarzy. W zastygłej pozie, patrząc prosto w oczy Seburstowi, odpowiadała szybko, jakby chciał się co rychlej pozbyć tej rozmowy. Jego niewzruszona mina wyrażała może uległość, a może — albo raczej — coś innego, czego nie umiałem zgłębić. W każdym razie Seburst wydawał się zadowolony. Udzieliwszy nam jeszcze kilku wskazówek, oddalił się szybko.

Hilgor pozostał ze mną zaledwie parę chwil. Z oczyma utkwionymi uparcie w wodospadach, usiłował najwyraźniej unikać mego wzroku. Położyłem mu dłoń na ramieniu, wymówiłem tonem pytania jego imię, ale mi nie odpowiedział. Pod moimi palcami błyszczał łańcuch z elektronu i małe płytki, na których, jak wiedziałem, wyryto pojedynczymi literami hasło wierności. Powiedziałem jeszcze:

— Czarna Gwiazda rozkazuje i słucha rozkazów.

Hilgor milczał w dalszym ciągu. Ale wyczułem, jak pod moją dłońią jego mięśnie przebiegło lekkie drżenie.

— Hilgorze, czy naprawdę rządu Arkanta uważasz za tak złe? Czy aż tak bardzo ufasz Seburstowi? Czy wiesz, jakimi drogami poprowadzi Klijenę?

Odwrócił się gwałtownie. W jego wzburzeniu była nieomal rozpacz, było jakby żalosne błaganie. Tym razem wpijał się we mnie spojrzeniem, ciężkim, upartym, czułem, że chce mi przekazać to, czego nie mógł wyrazić słowami: „Zaufaj mi... Cokolwiek uczynię, cokolwiek zrobi Czarna Gwiazda, naśladowaj nas. My bowiem wiemy niejedno...”

Cofał się z wolna, oddalał ode mnie i jednocześnie powracał mu spokój. Promień słońca padł na jego czoło, zapalił mu we

włosach ruchome światełka. Ujął obiema dłońmi naszyjnik elektrum, nie spuszczać ze mnie oczu — zdawało się, że nie chce odejść, nie odpowiedział na pytanie, niepokój, a może wyrzut zawarty w moim głosie, kiedy mu przypomniałem dewizę Zakonu. Wreszcie — nie znalazłszy nic lepszego, a raczej odkrywając najlepszą odpowiedź — wygłosił z powagą i dumą:

— Czarna Gwiazda rozkazuje i słucha rozkazów.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY NA SPOTKANIE Z ARKANTEM

Przez długi szereg tygodni nie widziałem ani Hilgora, ani Sebursta. W głębi duszy byłem im wdzięczny, że zdawali się o mnie zapominać i pozwalali, abym ja o nich zapomniał. Poddałem się nietrwalej urodzie tych dni i dziwnej szczęśliwości, którą odnajdywałem zawsze o świcie i która przedłużała się, odnawiała w ciągu dalszych godzin.

Podobnie jak Yena, Grinje nie wiedziała jeszcze o niczym. Cieszyła się życiem, śmiała się bez ukrytych myśli i to mnie do niej zbliżało. Przywykliśmy chodzić wieczorem na wzgórza nad Kamirą i tam oczekiwać zmierzchu w lasku serylierów.

Te drzewa o krótkim pniu są jednym olbrzymim, lekkim pióropuszem; najmniejszy powiew wydyma je, unosi, zdają się żeglować w powietrzu. Siadaliśmy, a cienie i barwy zmieniały się z każdą sekundą. Uryks odrywał się wówczas od Szkarłatnych Gór, opuszczał je jak gdyby z żalem, żegnając ulewą blasków. U naszych stóp lśniły w Miastach kopuły z liedy. Dalej połyskiwało morze, mieniące się jak mora. Czas był pogodny, wiała ciepła bryza. Nad naszymi głowami drżały włókniste liście serylierów. Od czasu do czasu, kiedy wiatr przycichał, opadały wokół nas jak jedwabista mgła, złotozielone, koloru chrząszczy żyjących w koronach róż. Darzyły nas pieśczętą łżejszą niż podmuch, który ją przynosił.

Prawie zawsze towarzyszyły nam dzieci. Roześmiane, rozbawione, pieśczętliwe, o złotych włosach i jasnych oczach, domagały się niestrudzenie opowieści o Ziemi i nie mogły dość im się nadziwić. Równie wesoła jak one, równie dziecinna i roześmiana, Grinje nie dawała się długo prosić. Ale ja... „Na co tak patrzysz?” — pytała mnie. Potrząsałem głową i usiłowałem

wrócić myślą do małych towarzyszy. Doprawdy, dlaczego moje spojrzenie biegło nieustannie do tego punktu Szkarłatnych Gór, gdzie, jak wiedziałem, znajdował się niedostępny zamek z chalcedonu, siedziba Arkanta? Z tego miejsca i o tej porze widać go było najlepiej. Wysoko nad dworzyszczem Czarnej Gwiazdy, ponad Arkeją i dwoma innymi Miastami, w ścianie skalnej tkwiły szeregi regularnych wnęk jak komórki w plastrze miodu. Długo musiałem się wpatrywać, zanim rozpoznałem wśród nich szerokie okna, tarasy, lodżie i arkady. Stąd, niby fryz ciągnący się wzdłuż muru, biegła długa, pozioma bruzda, przebiegała się przez chaos skał i zdawała się gubić we wnętrzu masywu.

Intrygował mnie ten szlak wykuty w skale. Był z tej samej krystalicznej materii co powłoka sąsiednich zboczy, miał tę samą purpurową barwę, ale zupełnie inną strukturę. Ciągnęły się tam szeregi kolumn żłobkowanych albo podwójnych, prawdopodobnie wielobocznych, gdyż błyszczały w sposób szczególny — rzucały gwałtowne lśnienia, jakie dobywa ostre światło z fasetek drogich kamieni. Pewnej nocy, wracając spod Głównego Sklepienia w tym czasie, kiedy złote zorze przestają oświetlać Klijenę, zauważyłem mały ognik, który wychynął jak gdyby z wnętrza gór i posuwał się wolno wzdłuż owego szlaku. Tej nocy śniłem o tajemniczym zamku, o Arkancie czuwającym nad Kalgarem, potężnym i dalekim jak figura bóstwa... Ale równie jak ona nietrwałym...

„Na co tak patrzysz?” — pytała Grinje. Przecierałem oczy i mówiłem: „Jak piękne są te góry”.

Wokół mnie śpiewały dzieci. Kiedy traci się już nadzieję na odzyskanie spokoju, zdarza się czasem, że świeży powiew albo śpiew dziecka wystarczą, aby przynieść ukojenie.

*

Nadszedł czas, kiedy trzy księżycy Kalgaru zaczęły wspólnie wędrować po niebie; zebrały się wreszcie w jednym punkcie, tworząc regularny, równoramienny trójkąt. I nadeszła noc, kiedy

na scenie pod Głównym Sklepieniem, Hanck oznajmił wyjątkowo uroczyście, że nazajutrz rozpocznie się święto Trzech Księżyców.

*

Pierwsze godziny święta upłynęły mi w pogodnym nastroju. Wczesnym rankiem poszedłem wraz z dziećmi Fendola na rozległą łąkę, gdzie kwadrygi gotowały się do mających nastąpić wyścigów. Podziwialiśmy konie i wozy, życząc szczęścia zawodnikom z Olosony i Kamiry, a przede wszystkim tym z Arkei. Tak jak cała ludność, mieliśmy na sobie nasze najpiękniejsze stroje. Zebrany tłum napełniał łąkę wesołym gwarem, radosne podniecenie wzrastało jednocześnie z coraz cieplejszymi promieniami słońca.

Wtedy właśnie oderwano mnie od świątecznych przygotowań. Ukazał się Hilgor. Jego spokojne słowa zawiadaniały mnie tylko, że mamy się stawić bez zwłoki u Hancka. Ale jego wzrok, jego milczenie... Pożegnałem się z chłopcami, którzy z uśmiechem wołali: „Do zobaczenia niedługo!”

Szedłem za Hilgorem, nie pytając go o nic. Czułem, wiedziałem doskonale, że obecnie musi nastąpić przebudzenie, że ten codziennie odnawiany, cudowny sen zostanie rozdarty jak pajęczna tkanina. W czasie całej drogi myślałem tylko o pięknie tego życia, przysięgając sobie, że na przekór wszystkiemu zachowam go zawsze w moim sercu.

*

Dotarliśmy wreszcie do zamku Czarnej Gwiazdy. W znanym mi już przedsionku czekali Magrini i Weng Ti. Po chwili, ku memu zdumieniu, przyłączyły się do nas Grinje i Yena. Milczeliśmy, gdyż otaczali nas strażnicy i oficerowie. Ale domyślaliśmy się, że całą naszą piątkę dręczy ten sam niepokój.

Po krótkiej chwili wprowadzono nas do biura wielkiego mistrza, gdzie przyjął nas Hanck. Ale nie on zajmował honorowe

miejsce za stołem dowódcy. Siedział tam Seburst.

Pisał coś z pochyloną głową. Widziany pod światło, w ciemnogrnatowym uniformie, wydawał się dziwnie podobny do otaczających go oficerów.

Przerwał pisanie i rozejrzał się wokoło.

— Czy już czas, Hanck?

— Tak — odpowiedział wielki mistrz.

Seburst podał zapisany arkusz jednemu z adiutantów.

— Dobrze. Wydajcie odpowiednie zarządzenia. A pan niech tu zostanie, Hanck.

Po czym, kiedy oficerowie skierowali się już do drzwi, dodał po chwili udanego wahania:

— I ty zostań, Hilgorze.

Popatrzył nam bystro w oczy. Serce mi się ścisnęło, gdyż spoza zasłony ubiegłych dni ukazał mi się nagle Seburst z małego pokoiku w Obozie Stones, ten sam, który o szarym świcie oznajmił nam szorstko, że mamy wyruszyć w daleki, obcy świat. U drugiego krańca naszej dziwnej przygody, zamykając ją jak gdyby, odezwał się jego nie znoszący sprzeciwu głos:

— Z okazji święta Trzech Księżyców pierwszą czynnością Arkanta będzie spotkanie z nami. Hanck przygotował wszystko jak należy. Mamy się stawić za chwilę. Zabieramy z sobą znacznie więcej zbrojnych, niżby ich było potrzeba dla unieszkodliwienia kilku ludzi ze straży przybocznej. Ten szczegół załatwi się podczas audiencji. Jeżeli Arkant was zapyta o coś, odpowiadajcie na proste pytania. Innymi ja się zajmę.

Obserwowałem Hancka, ale moje spojrzenie tyleż mogło z niego wydobyć, co z marmurowej rzeźby. Jego ogolona głowa, ciężkie rysy, jego maska i sposób bycia czyniły go nieprzeniknionym. Spoglądałem również na Hilgora, który uparcie trzymał oczy wlepione w szereg witraży, usiłując naśladować postawę swego dowódcy i nie dać nic poznać po sobie. Ale jego nadmierna sztywność, zaciśnięte szczęki, mroczne spojrzenie... Byłem pewien, że cierpi.

Seburst wstał. Wziąwszy do ręki jedną z tych podwójnych

tabliczek, na których pisało się na Klijenie, ruszył naprzód.

— Możemy iść.

Mijaliśmy podworce w ślad za Hanckiem i Hilgorem, który umyślnie odsuwał się od nas jak najdalej.

Pięć podworców piętrzyło się na kształt tarasów, każdy z nich był wyższy od poprzedniego i leżał bliżej podnóża gór. Ostatni zamykała już ściana skalna, wysoki, stromy mur, lodowaty i płomienisty zarazem. W głębi tego podworca znajdowała się wielka, wybita w skale brama, najeżona metalowymi okuciami. Otaczali ją strażnicy skupieni w milczące grupy. Rozwarli przed nami wrzeciędzie.

Gdyśmy przekroczyli próg, otworzył się natychmiast przed nami zupełnie inny świat. Byliśmy w sali bez okien, słabo oświetlonej kilkoma pochodniami. Przytłumiony huk, zapewne podziemnego wodospadu, wstrząsał kolejnymi falami przesycone wilgocią powietrze. Ze ścian niemal lała się woda.

Znajdowało się tu około pięćdziesięciu członków Zakonu Czarnej Gwiazdy. Hanck wskazał na nich ręką.

— Oto nasza eskorta.

Dał znak jednemu z oficerów, a ten musiał przekazać rozkaz dalej, gdyż cały oddział, kierowany tajemną dyscypliną, ruszył w głąb sali, gdzie widniała następna brama. Przekroczyliśmy ją, idąc w ślad za eskortą.

Szliśmy dwójkami wzdłuż korytarza wykutego w skale, drogą niedostatecznie oświetloną płomykami pochodni. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, rósł podziemny grzmot, ogłuszał nas, uniemożliwiał wszelką rozmowę. Wilgotna mgła, ciężka i zimna, przenikała nas na wskroś, zdawała się jednoczyć w naszych sercach z uczuciem niepokoju. Grinje, uczepiona mego ramienia, drżała lekko... Mój Boże, kiedyż się skończy ten pochód ku przepaściom?!

Korytarz skręcił raptownie pod kątem prostym i stanęliśmy w pomieszczeniu, z którego, jak sądziłem, nie było wyjścia. Po chwili spostrzegłem jednak mały otwór w przeciwległej ścianie — grupa ludzi zasłoniła mi go początkowo. Członkowie Czarnej

Gwiazdy przeciskali się przezeń po jednym, wreszcie Hanck i Seburst, idący na końcu, dali nam znak, abyśmy poszli w ich ślady.

Otwór był rzeczywiście bardzo ciasny; trzeba było schylić głowę i przykucnąć, żeby się dostać na drugą stronę. Zaledwie się tam znalazłem, ktoś chwycił mnie za rękę — to jeden ze strażników, przyświecając pochodnią, pomógł mi zejść po kilku stopniach w dół i zeskoczyć na coś w rodzaju kolistej platformy, na której stali już moi towarzysze. Wokół platformy, obrzeżonej relingiem, biegło kilka rzędów ławek. Kazano nam usiąść. Zewsząd otaczała nas lita skała, fantastyczne zwierciadła mokrych gładów odbijające migotanie pochodni.

Hanck i Seburst również zajęli miejsca; zaledwie usiedli, przebił się poprzez szum podziemnej rzeki jakiś donośny huk, klaśnięcie spadającej, ciężkiej masy: otwór wejściowy został dokładnie zatkany. Był to posepny odgłos zatrzaskiwanych drzwi, symbol zerwania z zewnętrznym światem.

Prawie natychmiast coś się zmieniło: jakiś impuls, jakieś niepowstrzymane, idące z głębiny parcie kipieli zachwiało platformą, dźwignęło ją i ku memu przerażeniu poniosło w górę. W tej szalonej chwili wyobraziłem sobie, że padamy ofiarą podstępny, królewskiej zemsty Arkanta, że przygniecie nas sklepienie skalne albo zatopią wzbierające wody. Podniosłem oczy, ale nie mogłem nic dojrzeć oprócz cofających się nieustannie ciemności. Nagle u wylotu tej straszliwej studni, niezmiernie daleko, zabłysła — nie wiadomo jakim cudem — maleńka, purpurowa gwiazdka.

Wtedy zrozumiałem: jeśli się weźmie naczynie o kształcie litery U i do jednego ramienia wrzuci krążek korka, a do drugiego wpuści wodę z kranu, krążek pomknie szybko do góry tak jak nasza platforma, która stanowiła, w większej skali, prymitywną, ale zupełnie pewną hydrauliczną windę. We wnętrzu gór zamknięto widocznie jakieś potężne stawidło i podziemna rzeka, zamiast wypłynąć na powierzchnię, niosła nas do zamku Arkanta.

Sunęliśmy w górę. Na okolu naszej dziwacznej tratwy

czuwali strażnicy uzbrojeni w krótkie tyki i utrzymywali platformę w pewnej odległości od skalnych ścian. Powoli huk wodospadu tracił na sile, potwór uspokajał się i przycichał... Wznosiliśmy się wciąż, zapewne z ogromną szybkością, gdyż wyczuwałem w sobie — niby skulone, płochliwe zwierzątko — cielesne wrażenie towarzyszące gwałtownym wzlotom i skokom z zawrotnej wysokości.

Nasza cudowna gwiazda... Powiększała się tam u góry, zbliżała i bladła jak za nadejściem dnia. Z purpurowej stała się pomarańczową, rozkwitła jak płomienny kwiat, zmieniła się w bukiet, a w końcu w olbrzymi, świetlisty snop, kiedy olśnieni, wychynęliśmy nagle z niezgłębionych ciemności. Nasza tratwa zatrzymała się gwałtownie, wibrując jak strzała, która utkwiała w tarczy.

*

Byliśmy w Chalcedonowym Zamku. Na razie widziałem jedyną ścianę, od której bił oślepiający blask. Była to oglądana od wewnątrz, znana już nam powłoka gór, krystaliczne zbocze ze swymi ostrymi graniami, upłazami, fasetkami, poprzez które słała blask rozjarzona tarcza Uryksa. Ściana ta tworzyła kolosalny witraż, u którego stóp wylądowała tratwa. Ciągnął się stąd niezmiernie długi tunel, który musiał przebijać na wskroś cały szczyt góry, bo u jego krańca migotał czerwienią drugi witraż, przyćmiony oddaleniem i brakiem z tej strony słońca.

Zeszliśmy z platformy, ponaglani przez strażników. Seburst w towarzystwie Hancka przeglądał tabliczki, usiłował się zorientować w rozkładzie zamku.

— Schody... Na górze przedsionek i Sala Onyksowa. A tutaj?

— Westybul i Sala Karneolowa, gdzie zostaniecie przyjęci.

— Dobrze. Chcę, żeby przynajmniej dwudziestu pięciu ludzi pozostawało ciągle razem z panem u wejścia do tej sali. Czy przez zamknięte drzwi usłyszycie pan mój sygnał?

— Oczywiście. Wejdziemy na pierwsze wezwanie.

Ruszyli naprzód, my za nimi. Po obu stronach tunelu znajdowały się wysokie, zamknięte drzwi, coraz bardziej osnute mrokiem, w miarę jak oddalaliśmy się od płomiennego witraża. Było tu zupełnie pusto. Cisza, zamącona przez chwilę naszymi krokami, zamykała się za nami, tak jak zamyka się woda.

W połowie tunelu, niby na skrzyżowaniu naw katedry, oddzielały się od niego i biegły w przeciwnie strony dwa szerokie korytarze. Półcień nie pozwolił mi dojrzeć, dokąd prowadził korytarz idący na lewo. My skręciliśmy w prawo.

Wkrótce stanęliśmy u podnóża monumentalnych schodów wykutych w skale i wiodących jednym ciągiem do góry. Stopnie były szerokie i białe, o gładkiej powierzchni. Skąpe światło spływało z dwóch latarni, palących się wysoko jeszcze i daleko przed nami, na końcowym podeście schodów. Dopiero gdyśmy tam dobrnęli, spostrzegliśmy dwu oczekujących nas ludzi, zastygłych w tak nieruchomych pozach, że w tym kamiennym świecie sami wydawali się głazami.

Miało się wrażenie, że tkwią tutaj od wieków. Mieli na sobie strój Czarnej Gwiazdy, z tą jednak różnicą, że dwa paski z materiału wyglądającego jak futro gronostajów biegły od dołu kaftana i łączyły się na karku, tworząc rodzaj wąskiej etoli. Domyśliłem się, że jest to odznaka straży przybocznej. Ludzie ci, dość wiekowi, należeli do jedenastego pokolenia, jak na to wskazywały liczby na ich medalionach. Ale była to jedyna cecha, jaką mogłem im przypisać: ich twarze nic absolutnie nie wyrażały.

Hanck zwrócił się do jednego z nich i otrzymał krótką odpowiedź, wygłoszoną beznamiętnym tonem, po czym strażnik obrócił olbrzymie skrzydło drzwi na szczycie schodów i poprosił, byśmy poszli za nim.

Szereg drzwi. Przedśionek rozległy jak operowe foyer. Sala Onyksowa o ciemnych ścianach. Potem westybul, w którym na rozkaz Hancka pozostała nasza eskorta. Jeszcze jedne drzwi. I wreszcie sami, z jednym tylko strażnikiem przybocznym, wchodzimy do Sali Karneolowej.

Wydała mi się zalana oszałamiającym światłem, które wpadało z prawej strony przez długi szereg okien zrobionych z tafli karneolu. Znałem tę półprzezroczystą skałę, grającą wszystkimi odcieniami czerwieni, lubiłem jej wspaniałe słoje podobne do słoików drzewnych, ale nie wyobrażałem sobie, by mogła osiągać takie rozmiary. Płyty w oknach liczyły po kilka metrów kwadratowych. Słońce rzucało przez nie do sali pomieszane fale purpurowych, różowych i złotych wstęg. Szliśmy przez ten chaos barw, nie mogąc na nic innego zwracać uwagi.

W głębi sali znajdowały się dwa szeregi ustawionych półkolem siedzisk. Były to ciężkie trony o wysokich oparciach, wykute z czarnego kamienia, na których jaśniały szkarłatne plamy poduszek z serylażu. Sługa ze straży przybocznej poprosił, byśmy usiedli, po czym, ciągle z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, wycofał się drogą, którą nas wprowadził. Usłyszeliśmy jego kroki cichnące w długiej sali, odgłos zamykanych drzwi. Zostaliśmy sami.

Spojrzałem wreszcie przed siebie. O kilka kroków wzrok napotykał przedziwny mebel: na dwóch olbrzymich graniastosłupach z przejrzystego kwarcu leżała płyta — długości co najmniej ośmiu metrów — zrobiona z tego samego karneolu, w którym wykuto całą salę. Ale tutaj kawał skały, doskonale wygładzony z obu stron płyty, zachował na jej bokach wygląd surowego kamienia. Miał kształt nieregularnego półksiężyca i wypukłą stroną zwracał się do nas. Przez wąski, poziomy otwór wpadał promień słońca, zapewne wskutek gry odpowiednio ustawionych zwierciadeł, i uderzał w kryształowe graniastosłupy, odbijał się od nich, oświetlając od spodu karneolową płytę. Unosiła się nad nią łagodna jasność jak mgiełka nad źródłem.

Z tyłu stał tron podobny do naszych, ale większy jeszcze, bardziej masywny. Jego oparcie, inkrustowane elektrum, rysowało się ciemną plamą na tle Przezroczystych Drzwi. Wyglądały one jak olbrzymia, jednolita tafła lekko matowego szkła, sięgająca od podłogi do sufitu. W jej wnętrzu ślizgały się bez przerwy fale barw — rozdzielały się i łączyły, tworzyły

dziwaczne rysunki, znikające co chwila i co chwila zastępowane innymi.

To widowisko, mimo niesprzyjających okoliczności, byłoby przyciągnęło naszą uwagę, gdyby nagle pośród ruchomych barw nie ukazały się dwa ludzkie cienie. Drzwi jak gdyby pękły pośrodku, ich skrzydła rozsunęły się na prawo i lewo i znikły w ścianie, po czym oba cienie wkroczyły do sali. Byli to dwaj ludzie ze straży przybocznej, tak podobni do spotkanych poprzednio, że nie mógłbym przysiąc, czy to nie ci sami. Posunęli się o krok w głąb sali i stanęli, zwróceni twarzami do siebie po dwu stronach drzwi. Tamtędy, pod szeroko rozwartym sklepieniem, spojrzenie mogło teraz pobiec niezmiernie długą galerią, obrzeżoną po prawej stronie arkadami wyzłoconymi słońcem. Jednakże jego blask tłumili zapewne umieszczone w górze osłony, bo fale jaskrawego światła zalewały tylko dolną część galerii, kładąc się nisko przy ziemi.

W tej chwili, nie porozumiawszy się między sobą, wstaliśmy z miejsc. Gdyż z głębi galerii zbliżała się postać robiąca wrażenie olbrzymiej, a myśmy zrozumieli, że ten człowiek, idący ku nam z wolna, brodzący w fali słonecznego blasku jak w dojrzałym zbożu, jest — może tylko na przeciąg najbliższej godziny — tajemniczym władcą Kalgaru.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY ARKANT

Kiedy wszedł, strażnicy wycofali się zamknawszy za sobą drzwi. On kroczył spokojnie dalej i zatrzymał się dopiero przy stole. Stojąc gładził dłonią świetlistą taflę z karneolu i wpatrywał się w nas bez pośpiechu.

Był to starzec niezwykle wysokiego wzrostu. Jego ramiona, zaledwie trochę pochylone wiekiem, musiały być kiedyś ramionami atlety. Twarz o regularnych rysach otaczały srebrzyste, prawie białe włosy, opadające lekkim zwojem na kark, i równie biała, krótka broda, starannie utrzymana. To białe obramowanie twarzy i lekkie pochylenie głowy podkreślały blask bardzo czarnych oczu, ich niezwykłą głębię. Oczy te przesuwają się od jednego do drugiego z nas, metodycznie, ze spokojnym zainteresowaniem; gdy wreszcie spoczęły na mnie, poczułem gwałtowny wstrząs — można by to określić jako oddanie się w niewolę. Wrażenie przypominało moment, kiedy po raz pierwszy ogarnęło mnie spojrzenie Sebursta. Była w tym nieodparta siła. Ale gorące pragnienie profesora zawładnięcia drugim człowiekiem powstrzymywało mnie zawsze, właśnie z powodu swej gwałtowności, od poddania się jego władzy, tak jak pływak walczy instynktownie ze zbyt burzliwym prądem. U Arkanta była to łagodna siła przyciągania, tym mocniejsza, że nie wywierała nacisku i nie musiała zwalczać nieufności. Na razie nie mogłem się zorientować, na czym właściwie polegała. Wiedziałem, że to nieostrożnie iść tak za odruchem serca, nie pytając, czy rozsądek nie zbuntuje się wkrótce i nie zacznie go zwalczać. Ale spojrzenie starca podbiło część mojej istoty i martwiłem się tylko, że można to wyczytać w moich oczach.

Kiedy Arkant przeniósł spojrzenie na kogoś innego spośród moich towarzyszy, mogłem obejrzeć bardziej szczegółowo jego strój. Był to ubiór straży przybocznej, w tym samym fiołkowym, prawie czarnym kolorze, który w otoczeniu grającym czerwienią mienił się purpurowym odblaskiem. Na piersi miał również podobną odznakę, tylko że gwiazdę stanowił w niej najczystszej wody diament. A w środku gwiazdy... Przez chwilę nie mogłem tego zrozumieć, nie chciałem uznać, moje myśli krążyły jak oszalałe wokół lśniącego, małego kółka. Gdyż odcinała się na nim jedna jedyna czarna cyfra.

Oznaczała pierwsze pokolenie Kalgaru!

Spojrzałem na Sebursta. Z oczyma wlepionymi w Arkanta drżał na całym ciele, tak jak w dniu przybycia na Klijenę drżał zobaczywszy ptaka, a potem małego chłopca. Jego okrzyk wyraził taki jak wówczas sprzeciw, ale zabarwiony przerażeniem, niewiarą w to, co widział.

— Geilendorth!

Po tym nazwisku zapadła cisza. Wzrastało napięcie, być może z tej ciszy zrodzone. Arkant milczał nadal, ciągle stojąc nieruchomo za stołem. Wreszcie powiedział z ledwie dostrzegalnym uśmiechem na ustach:

— A więc przybyłeś tutaj...

Po chwili dorzucił, jak gdyby chciał ostatecznie dać się poznać lub usprawiedliwić swój uśmiech:

— Sądziłem, że się zmienił nie do poznania.

Głos jego był głęboki, o wspaniałym brzmieniu, w każdej tonacji wyczuwało się doskonałe panowanie nad sobą. Zapewne ten właśnie niewzruszony spokój wywierał tak wielkie wrażenie, zwłaszcza jako przeciwieństwo wybuchowej natury Sebursta. Profesor za cenę nadludzkiego wysiłku zaczynał się uspokajać.

— Więc to ty... A przecież...

— Możemy chyba usiąść.

Geilendorth podszedł do swego masywnego tronu, poczekał, dopóki nie zajęliśmy miejsc, i dopiero wtedy ciągnął dalej:

— Domyślam się, co chciałeś powiedzieć. Że na Ziemi

miałem o dwanaście lat mniej od ciebie. Teraz jestem starszy prawie o sześćdziesiąt.

— Byłbym to ujął w jednym zapytaniu.

— Odpowiedź jest prosta. Od naszego ostatniego spotkania przeżyłeś dziesięć lat na Ziemi. Tyleż czasu mniej więcej trwała nasza podróż, którą ja przebyłem w uśpieniu. Następnie wy przespaliście okres waszej podróży: trzy wieki. W ciągu tego całego okresu żyłem na Klilienie około osiemdziesięciu lat. Resztę unicestwiła hipotermia.

— Miałbyś zatem... sto dziesięć lat?

— To rzecz względna. Jeśliby liczyć w latach ziemskich — tak. Ale któż może ocenić wartość czasu na Kalgarze?

Spojrzenie Arkanta zamglilo się, głos złagodniał. Na jego twarzy kładły się różowe i złociste odbłaski bijące z kryształowej tafli stołu; rzekłbyś, rozważał coś jak człowiek pochylony w zadumie w kręgu płomieni ogniska. Wydał mi się niezwykle piękny.

Seburst opanował się już całkowicie i ruszył do ataku.

— Wnioskuje z podanych przez ciebie liczb, że przeżyłeś w sztucznym uśpieniu dwieście trzydzieści lat.

— Zawsze byłeś mocniejszy ode mnie w obliczeniach. A zatem i ten rachunek musi być prawidłowy.

— Jednakże coś tu się nie zgadza. Przecież dopiero po waszym odlocie z Ziemi wynalazek Wingleya pozwolił przedłużać trwanie hipotermii do tak odległych granic. Hipotermory pierwszej Megi mogły funkcjonować niewiele ponad dwadzieścia lat.

— Każdy z nich! A mieliśmy dwadzieścia dwa aparaty. Na podróż zużyliśmy połowę ich mocy, reszta miała nam służyć w drodze powrotnej, ponieważ w tym czasie sądziliśmy...

— Tak więc...

Seburst przerwał mu brutalnie; wrogi ton jego głosu świadczył wyraźnie, że wrócił już najzupełniej do siebie, gotów się rzucić na przeciwnika.

— Tak więc obróciłeś na swoją korzyść jedyną szansę

powrotu na Ziemię, jaką mieli twoi towarzysze. Nie, Geilendorth, nie zmieniłeś się wcale! W Obozie Stones — przed dziesięciu czy też trzystu laty, jak wolisz — w przeddzień naszego odlotu wciągnąłeś mnie podle w zasadzkę...

Kipiała w nim nienawiść, tak długo hodowana w sercu, którą wyolbrzymiało być może tajemne przeczucie tej chwili. Buchały płomienie, ich oddech palił nas w przelocie.

— Zdradzić dowódcę, oszukać przyjaciela! To nikczemność, Geilendorth! W pewnych wypadkach duma, ambicja, egoizm zmieniają człowieka w potwora!

Obserwowałem Arkanta — dziwiła mnie jego niewzruszona pogoda. Z pochyloną głową, w pozie, do której przywykł zapewne, słuchał pełen skupienia. Ani zdziwiony, ani urażony, zdawał się „królować” (bo jakież inne słowo mogłoby to lepiej określić?), panować wszechwładnie na podobieństwo bóstwa niewrażliwego na bluźnierstwa z racji swej boskiej natury.

Nagle Seburst zaczął się śmiać. Niespodziewanym, niepokromionym śmiechem, którego słuchaliśmy z przykrością. Wiedziałem dobrze, co mu przyszło na myśl i wywołało ten wybuch wesołości: pomyślał, że za naszymi plecami tylko jedne drzwi oddzielają go od Hancka i jego ludzi. Że za chwilę, w momencie, który sam wybierze, zbuntowany Zakon Czarnej Gwiazdy wtargnie do sali i położy kres panowaniu Arkanta. I że zemsta tak długo hołubiona jako niemożliwy do spełnienia sen...

— Odnaleźć cię żywego! Przestałem się już spodziewać takiego szczęścia!

Geilendorth patrzył spokojnie na śmiejącego się Sebursta. Zapytał łagodnym tonem:

— Takiego szczęścia... A więc spodziewałeś się go kiedyś?

— Niezupełnie. Odkrywszy cywilizację Klijeny, pomyślałem oczywiście, że może się wywodzić z twojej ekspedycji. Ale człowiek tak pełen pychy, jak ty, musiałby zostawić jakieś wyraźne ślady swego królowania: posągi, mauzoleum...

— Zacząłeś wtedy przeszukiwać nasze cmentarze...

— Tak, dobrze cię poinformowano. Odczytałem wszystkie

napisy nagrobne, lecz nie znalazłem śladów ani po tobie, ani po twoich towarzyszach.

— Moi towarzysze nie żyją.

— Gdzie są pochowani?...

Arkant uczynił gest, jakby odsuwał od siebie te słowa, i z kolei sam zadał pytanie:

— Jakież były twoje wnioski?

— Że wszyscyście istotnie zginęli wraz z pierwszą Megą. A za to jakiś inny statek, o wiele szybszy od naszego, musiał opuścić Ziemię po nas, ale przybył tutaj o parę wieków przed nami.

— Opuścił Ziemię? Po was?

Geilendorth powiedział to dziwnym tonem; przebiegł po nas spojrzeniem, zatrzymał je na Grinje i Yenie, jak gdyby z ich powodu zawahał się, czy ma dalej mówić.

— Ziemia... Musicie się tego dowiedzieć: w siedem miesięcy po waszym odlocie wstrząsnęła nią seria wybuchów nuklearnych. Wątpię, czy chociaż jeden człowiek przeżył ten kataklizm.

— Ach, więc przynajmniej w tej sprawie miałem rację!

Tak, Seburst rzeczywiście to przepowiedział. Ale w Obozie Stones widziałem w tej groźbie jedynie pretekst, mający usprawiedliwić dokonany wobec nas akt przemocy. Ziemia... To była przecież nasza ojczyzna! Wyrzucałem sobie, że nie czuję większego wzruszenia, że godzę się, by rozprawiano niemal obojętnie o jej zagładzie. Tak czy inaczej ludzie, których znaleźmy na Ziemi, nie żyliby dzisiaj od dawna, a ona sama była tak bardzo odległa... Seburst ze swej strony wydawał się prawie szczęśliwy, że jego rozumowanie okazało się słuszne.

— Czy można spytać, jak się tego dowiedziałeś, Geilendorth?

— Za pomocą naszych urządzeń radiowych. Naturalnie w długi czas po katastrofie. Wysłaliśmy natychmiast szereg sygnałów w stronę Ziemi, ale absolutny brak odpowiedzi...

— Pozwól, że ci przerwę. Czy te urządzenia stanowiły wyposażenie waszej Megi?

— Tak.

— Otóż tego również nie mogę zrozumieć.

Seburst, pochylony do przodu, był znowu pełen napięcia. Starał się mówić swobodnie, ale spod jego tonu przebijała napastliwość, podobnie jak spod skóry przebija gra mięśni.

— Rozmawiamy jak przyjaciele, Geilendorth. Wytłumacz mi zatem taką rzecz: po odlocie z Ziemi wysyłaliście bardzo regularnie wiadomości o waszej podróży aż do przewidzianego przeze mnie dnia, kiedy wszelkie sygnały umilkły całkowicie. Jeśli nie nastąpiło rozbitcie statku, a wasze urządzenia radiowe też nie zostały uszkodzone...

Arkant nie od razu odpowiedział na nie domówione pytanie, pozwolił, aby nabrzmiało ciszą, która po nim zapadła. Zdawał się rozmyślać w skupieniu, po czym rzekł:

— Abyś to mógł zrozumieć, musimy cofnąć się w czasie. Muszę ci powiedzieć, co mnie skłoniło do zajęcia twego miejsca dowódcy na pokładzie pierwszej Megi w sposób, który tak ostro potępiasz.

— Niczego bardziej nie pragnę się dowiedzieć.

Z kolei Seburst rozparł się wygodnie w fotelu, Arkant zaś, wychylony do przodu, miał zacząć opowieść. Ręce oparł na kryształowym stole, który oblewał go czerwonym blaskiem. To oświetlenie, jego twarz rysująca się na zmiennym tle Przejrzystych Drzwi, jego cudowny głos — cichy z początku, a później brzmiący powstrzymywaną pasją — sprawiły, że nie mogliśmy się oderwać od filmu, jaki przed nami roztoczył, pełnego pięknych i zdumiewających obrazów.

— Na Ziemi byłeś moim ukochanym mistrzem i zapewne nasze sprawy potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdybym cię nie uwielbiał tak gorąco. W ciągu długich miesięcy pracowaliśmy razem. Czy pamiętasz? W Wensborgu nasze stoły sąsiadowały ze sobą. Mój podziw dla ciebie był tak wielki, że nabrałem zwyczaju gromadzenia z religijną niemal czcią wszystkiego, co wyszło z twoich rąk. Między innymi zbierałem bruliony twoich obliczeń. Wyrzucałeś je niedbale, nie przypuszczając, że ja po powrocie do domu spędzałem całe godziny nad rozszyfrowywaniem,

klasyfikacją i podziwianiem tych relikwii. Byłem przecież bardzo młody.

Otóż pewnego dnia te bruliony pogrążyły mnie w niespodziewanej rozterce. Wszystkie odnosiły się do projektu osiemdziesiątej siódmej fazy naszej podróży, najcięższej z pewnością i z którą tylko twój geniusz matematyczny mógł sobie poradzić. Idąc za biegiem twoich myśli, zauważyłem ze zgrozą, że nie chodziło ci o wypracowanie jednego z tych mistrzowskich przelotów, w których celowałeś. Przeciwnie, wyszedłszy z prawidłowych danych, zdeformowałeś obliczenia z piekielną zručnością, wprowadzając do nich trudny do wykrycia błąd, który musiał wywołać nieuniknioną zagładę statku.

Seburst uśmiechał się wyniośle. Zastaniał się tym uśmiechem nie jak ktoś broniący się przed zarzutami, ale jak człowiek dochodzący swoich praw. Pozwolił Arkantowi mówić dalej.

— Oczywiście wnioski te nie były dziełem jednego dnia ani też jednego człowieka. Zwierzyłem się kilku moim towarzyszom i przystąpiliśmy wspólnie, z bolesnym napięciem, do sprawdzania, ponownego wertowania dokumentów, zadawania ci podstępnych pytań. Kiedy wreszcie twoje błędne obliczenia przeniesiono na perforowane karty, mające kierować lotem Megi, nie mieliśmy już żadnych wątpliwości oprócz tej jednej: czym się kierowałeś? Ale odpowiedzi udzielało twoje opętanie Kalgarem. Nie chciałeś zwycięstwa idei, zwycięstwa zespołowego zrywu, pragnąłeś tylko zrealizować za wszelką cenę osobiste marzenie, jak gdyby Kalgar i cały świat należał do ciebie. Takie przekonania tworzą geniuszy albo... potwory! Nie mogą kształtować duszy przywódcy!

Arkant ożywił się, rzekłbyś, zrzucił z siebie znamiona starości jednocześnie z płaszczem, który ześliznął mu się z ramion. Dzięki magii głosu i spojrzenia ukazała nam się poprzez postać i twarz starca, potężna sylweta człowieka, którym był przed laty. Nie widzieliśmy już pełnego pogody bóstwa, ale zdobywcę, budowniczego — Arkanta.

— Przywódca — mówił — musi przede wszystkim służyć innym. To, że wolałeś katastrofę od sukcesu, w którym nie miałbyś udziału, wykazało nam, że mimo swej wielkości nie jesteś godzien nami dowodzić. Brakowało ci najważniejszej cechy.

Odbyliśmy szereg zebrań, coraz bardziej dramatycznych w miarę jak zbliżał się termin odlotu. Cóż mogliśmy zrobić? Oskarżyć cię wobec rządu? Z całą łatwością byś udowodnił, że błąd zakradł się przypadkowo. My jedni byliśmy w stanie zrozumieć ukryte sprężyny tej machinacji. Czas nagiął... Wiesz, jakie wybraliśmy rozwiązanie: uwięzienie, zastrzyk, co nie pozwoliło ci odnaleźć w chwili odlotu. Gdyś się nie stawiał, ja według prawa stanąłem na czele ekspedycji. Zbywające miejsce we wnętrzu Megi zajął matematyk Lauenburg, uczony niemal dorównujący ci sławą.

Dlaczego zerwaliśmy wszelkie kontakty z Ziemią? Tę decyzję również bardzo trudno było podjąć. Pomyśleliśmy, że wiadomość o naszym sukcesie przyczyniłaby się do wysłania następnej ekspedycji, którą ty byś oczywiście dowodził. Tymczasem niepowodzenie położy ostatecznie kres rujnującym przedsięwzięciom. Wobec tego odegraliśmy obmyśloną komedię. W chwili kiedy zgodnie z twoim planem statek miał się rozbić w paśmie Ballmingera, nasze nadajniki zamilkły.

Oczywiście, można krytykować tę decyzję. Ale w przestrzeni kosmicznej różne sprawy mają inną wagę niż na Ziemi. To zerwanie kontaktu wydało nam się jedynym sposobem zabezpieczenia naszego zwycięstwa, uchronienia Kalgaru.

— A więc mnie jednego bałeś się tak bardzo?

Seburst zerwał się z miejsca. Rozpierała go pycha.

— Tak, ciebie. Ciebie jednego.

— A więc przegrałeś. Błogosławię los, który utrzymał cię do dziś przy życiu i pozwolił mi rzucić ci to w twarz. Wygrałem! Mimo wszystko. Gdyż zmiotę cię z mojej drogi jak garść prochu.

— Jestem Arkantem.

— Jesteś już niczym. Popatrz na ten gwizdek...

Podrzucił na dłoni cienki wałeczek z elektrum. Jakież szaleństwo popchnęło mnie w tej chwili do przodu, kazało mi się rzucić na Sebursta, chwycić go za rękę? Krzyknąłem:

— Nie, nie!

Istne szaleństwo... Kilkudziesięciu członków Czarnej Gwiazdy czekało za drzwiami. Cóż mogłem zdołać, sam jeden, w obronie tego starca, nie mając zresztą pojęcia, czemu go bronię? Ramię Sebursta skręcało się w uścisku moich palców, jego pełna wściekłości twarz wykrzywiała się tuż przy mojej twarzy.

— Zdradasz mnie, Glowe? Czy myślisz, że zdołasz czemukolwiek zapobiec? Puść mnie natychmiast!

Za plecami usłyszałem rozpaczliwy okrzyk Grinje:

— Peter!

A potem inny głos, który nakazał:

— Zostaw go, Peter Glowe.

To był Arkant. Wstał również, opromieniony tak spokojnym dostojeństwem, że usłuchałem go, nie rozumiejąc. Patrzył na mnie z nowym zainteresowaniem. Powtórzył słowa Sebursta, ale przyjaznym, pełnym powagi tonem:

— Czy myślałeś, że zdołasz czemukolwiek zapobiec?

W tej chwili rozległ się głos gwizdka, przeraźliwie ostry. Seburst, uwolniony z uchwytu mojej ręki, powtórzył kilka razy sygnał, zwróciwszy się w stronę drzwi w głębi sali. Ale ponieważ w pierwszej sekundzie nic się nie stało, zrodziła się we mnie bezsensowna nadzieja: a nuż nic się w ogóle nie zdarzy? Odprężenie trwało jednak zaledwie mgnienie oka. Drzwi otwarły się na oścież i weszli rycerze Czarnej Gwiazdy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY CZARNA GWIAZDA ROZKAZUJE

Strażnicy i oficerowie podeszli i otoczyli nas. Hanck i Hilgor znajdowali się na czele oddziału. Kiedy stanęli nieruchomo, zapadła cisza więżąc nas i łącząc nawzajem kłębowiskiem myśli, tak jak sieć więzi i łączy schwytaną zdobycz.

Ale oto Seburst, speszony początkowo moim buntem, odzyskał szybko zimną krew.

— Hanck, proszę pilnować Glowe'a. Będzie musiał wytłumaczyć się później.

Dwaj ludzie stanęli obok mnie i wykręciwszy mi ręce do tyłu, przytrzymali mnie mocno.

— Teraz wykonujcie kolejno zaplanowane czynności. Proszę otoczyć Arkanta, ale nie dotykać go jeszcze.

To zadanie najwidoczniej powierzono oficerom. Obeszli wielki stół i zgrupowali się po obu stronach czarnego, kamiennego tronu. Arkant stał przerastając o pół głowy najwyższych członków Czarnej Gwiazdy. Wpatrywałem się w niego uporczywie, mając nadzieję, że przy-najmniej spróbuje odzyskać tych ludzi, którzy musieli być wrażliwi na jego wpływ. Ale on nie zwracał na nich uwagi, tak spokojny, jakby nie pojmował sensu zachodzących wydarzeń. Patrzył tylko na Sebursta, zdawało się, że w nim jednym skupiło się dla Arkanta właściwe znaczenie tej sceny.

Seburst promieniał. Jego prace, marzenia, ambicje, a w dodatku niespodziewanie i zemsta, doczekały się w tej chwili wspaniałego spełnienia. Podszedł do stołu z kryształu i oparł na nim rękę. Jego głos zagrzmiął gromko:

— Popełniłeś błąd, gdyż zbyt wcześnie przestałeś się mnie obawiać. A może spałeś za długo? Czy rozumiesz, co się stało?

Ukradłeś mi Kalgar, ale dzisiaj ci go odbieram. Nie jesteś już władcą, nie jesteś Arkantem! Jesteś tylko moim jeńcem.

— Może mógłbym powiedzieć...

— Nie, nie dam ci sposobności do siania zamętu w umysłach tych ludzi, do oszukania ich raz jeszcze! Hanck! Wyprowadź go!

Trzeba zazwyczaj odzewu, oporu, jakiegoś ruchu, aby nadać właściwą wartość pewnym słowom. Tymczasem rozkaz Sebursta zagubił się w ciszy jak kamień wrzucony do bezdennej studni. Nikt z członków Czarnej Gwiazdy nie poruszył się, nie drgnął nawet. Kamień nie otarł się o nich.

Mijały przerażające sekundy. Dla Sebursta dłuższe oczekiwanie nie było bezpieczne, powtórzył więc rozkaz, ale znowu słowa zdały się rozbrzmiewać w zupełnej pustce. Napięcie stawało się nie do zniesienia — ci ludzie przekształceni nagle w posągi, Seburst w walce z narastającą paniką i Geilendorth, który zaczynał się uśmiechać.

Kiedy Seburst powtórzył z krzykiem po raz trzeci swój rozkaz i znowu nie znalazł odzewu, Arkant poszukał spojrzeniem Hancka i powiedział przestając się uśmiechać:

— Ta scena staje się zbyt okrutna. Niech Czarna Gwiazda opuści salę. Ty jeden zostań z nami.

Zanim jeszcze rozkaz został wykonany, zanim sala opustoszała i drzwi się zamknęły, sam ton głosu Arkanta wystarczyłby, aby nas oświecić. Był to głos równy, spokojny, pewien swojej władzy — głos przywódcy, któremu wszyscy ulegają.

Seburst pobladł jak ściana. Zapadnięte oczy płonęły mu szaleństwem. Cofnął się powoli aż do swego fotela, oparł się na nim.

— A więc ty... wywiodłeś mnie w pole! A Czarna Gwiazda...

— Zna tylko jednego pana. Nigdy nie przestała być mi posłuszną.

— Nawet grając tę komedię? Dlaczego nie kazałeś mnie po prostu uwięzić? Dlaczego...

Geilendorth zwrócił się do Hancka:

— Wytłumacz mu to.

Dowódca Czarnej Gwiazdy patrzył wyniośle prosto w twarz Sebursta.

— Rozkazy ja wydałem. Trzeba by znacznie poważniejszych wypadków, aby zaszła konieczność obudzenia Arkanta. Musiałem ukrócić pańską szkodliwą działalność do chwili, kiedy on poweźmie decyzję. Do święta Trzech Księżyców. Do dzisiejszego dnia. Więzienie? To by wzburzyło pańskich towarzyszy, a poprzez nich cały lud. Nikt nigdy w żadnych okolicznościach nie został pozbawiony wolności na Klijenie. Postanowiliśmy utworzyć wokół pana osoby szaniec ochronny, wysłuchiwać pana przemówień, nie przyjmując ich do wiadomości, a zwłaszcza nie pozwalając, aby dotarły do ludu. Musieliśmy grać komedię. Nie było to ani łatwe, ani przyjemne, ale nie mogliśmy postąpić inaczej.

— To podłość!

Teraz znów Arkant zwrócił się do Sebursta:

— Zanadto liczyłeś na swój wpływ na otoczenie. Wielcy ludzie bywają czasem naiwni. Jak mogłeś sądzić, że Czarna Gwiazda, od dawien dawna wychowana w posłuszeństwie, której racją bytu jest wierność, tak łatwo złamie złożoną przysięgę?

Mimo wszystko i w tej sytuacji Seburst nie przestawał mnie zadziwiać: w swoim rozczarowaniu i poniżeniu umiał zachować wyjątkową klasę. Zapewne dlatego, że został zwyciężony, wyczułem w nim po raz pierwszy jakąś słabą stronę, coś bardziej ludzkiego. O mało nie napisałem: coś sympatycznego. Był nadal śmiertelnie blady, ale oczu nie spuszczał i głos mu nie drżał.

— A więc? Czy jesteś zadowolony? Czy pognębiłeś mnie dostatecznie? Czy każesz mnie teraz obwozić w żelaznej klatce? Zwyciężyłeś, cóż zatem ze mną uczynisz?

Arkant musiał być wrażliwy na te same drgnienia uczuć, co ja, bo do jego słów zakradło się trochę miękkih tonów, jakich się używa, aby uspokoić czy pocieszyć dziecko.

— Nie walczę z tobą. Zatrzymam cię tylko przy sobie, bo mogę i mam obowiązek tak postąpić. Nie widzę na razie całkiem

jasno, co z tobą uczynię. Tymczasem zapraszam was wszystkich do bardziej przytulnego zakątka. Musimy jeszcze omówić wiele spraw... Hanck, pokaż im drogę!

Odwrócił się, podszedł do Przezroczystych Drzwi i kazał je otworzyć. A my ruszyliśmy posłusznie za Hanckiem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY NA TARASIE

Z drugiej strony Przezroczystych Drzwi był przedsionek prowadzący do tajemniczych korytarzy, a na wprost otwierała się długa galeria ze swymi pilastrami i arkadami, z zalanymi słońcem płytami posadzki. Tam ukazał się nam Arkant i tamtędy szliśmy teraz w milczeniu.

Niski murek biegł pod kolumnami aż do miejsca, gdzie szeroka arkada i ten sam poziom posadzki oznaczały przejście. Cekał tu na nas Geilendorth i ruchem uprzejmego gospodarza zapraszał do siebie.

Weszliśmy do pełnego cudów ogrodu. Na tarasie wykutym w zboczu skalnym zgromadzono najpiękniejsze rośliny — kwiaty i krzewy Kalgaru. Arkant wszedł do altanki osypanej złocistymi pnączami, usiadł na ławce ustawionej prostopadle do przepaści i oparłszy się łokciem na parapecie, wskazał nam stojące obok fotele.

Było to najwidoczniej jego ulubione miejsce. Wystarczyło mu jedno spojrzenie, aby objąć w posiadanie złote promienie słońca przesiane poprzez ciepły mrok, zapachy kwiatów ukrytych w listowiu i w szczodrze rozwartej przestrzeni Klijenę leżącą na brzegu morza.

Na rozkaz Hancka weszli strażnicy przyboczni, przysunęli stoły, rozstawili błyszczące puchary, napełnili je chłodnym napojem z wysokich dzbanów. Rozpoczęła się nowa godzina, pełna spokoju i odprężenia; zdumiewał nas jej łagodny nastrój.

Arkant skinął na wielkiego mistrza.

— Dziękuję ci, Hanck; jesteś wolny.

— Jak to, panie? Zostaniesz sam?

— Jestem z przyjaciółmi — odpowiedział Geilendorth z uśmiechem.

Kiedy odszedł dowódca Czarnej Gwiazdy, Arkant zwrócił się do Sebursta:

— Muszę ci powiedzieć, że kiedyśmy wylądowali na Klijenie...

— Nie sądzisz chyba, że mnie złamałeś ostatecznie? — przerwał profesor. — Jeśli oczekujesz ode mnie słów niewolnika...

— Niczego takiego nie żądam. Ta rozmowa ciebie będzie dotyczyła, powinniśmy zatem prowadzić ją z równych pozycji.

Seburst trwał w ogromnym napięciu, usiłował jednak panować nad sobą. Przytaknął pochylając głowę, a Geilendorth ciągnął dalej:

— Powiedziano mi, że ostro potępiasz nasze prawa. Zdziwisz się zapewne, kiedy usłyszysz, że gdyśmy przybyli na Klijenę, mieliśmy te same poglądy, te same plany, co ty: chcieliśmy stworzyć cywilizację, która zaczawszy od poziomu techniki osiągniętego na Ziemi, rozwijałaby ją nadal, co by nam pozwoliło opanować całkowicie tę planetę, a może i inne...

— Naturalnie! I mieliście środki po temu! Dlaczego tak się nie stało? Potrzeba było setek inżynierów, a widzę jedynie rozśpiewane dzieci! Sprzeniewierzyłeś się swojej misji. Dlaczego?

Geilendorth nie odpowiedział. Odwrócił od nas wzrok i śledził na zatoce białe plamki żagli, które zdążyły do brzegów nieopodal Kamiry i Olosony. Zdawało się, że o nas zapomniał. Przebywał na plażach, w Miastach, unosił się nad zalanymi światłem dolinami i wzgórzami. Z oczyma ciągle utkwionymi w dali i jakby mówiąc do siebie, zapytał tonem, w którym zabrzmiały nagle akcenty dziwnej tkliwości:

— Czyście kiedy dzielili posiłek jednej z tutejszych rodzin? Czyście się przyglądali, jak żyją ci ludzie? Czyście zauważyli kiedykolwiek u nich najśłabszy odruch przypominający złe namiętności: egoizm, nienawiść, zazdrość, chciwość? Czyście śpiewali z nimi hymn braterstwa, oparliście ręce na ich ramionach, i czy serca wasze nie zadrżały? Czy widzieliście, jak bawią się tutaj dzieci, czy słyszeliście ich śmiech?

Arkant wrócił spojrzeniem do Sebursta i otrzymał wymuszoną odpowiedź:

— Zapewne.

Cień pocętkowany złotem zdawał się powlekać twarz starca słoneczną opalenizną. Podjął utkwivszy znowu oczy w oddali:

— Te owoce, te kwiaty, te światła wieczorem, te blaski złocistej północy... I wielka szczęśliwość w czasie burz... Czy to wszystko nie zastanowiło was wcale?

Seburst odezwał się sarkastycznie:

— Bardzo zręcznie unikasz odpowiedzi na kłopotliwe pytania. Ale nie układamy przecież poematów. Zapytałem, dlaczego pozwoliłeś temu ludowi powrócić do okresu dzieciństwa. Czy mi odpowiesz?

Arkant spojrział na nas z powagą. Znużenie, a może i smutek zabrzmiały w jego głosie:

— Odpowiedziałem. To ty nie zrozumiałeś moich słów.

Siedzieliśmy zamyśleni, a on zdawał się także pogrążony w siebie; ale po chwili zaczął znowu mówić, tym razem gorętszym tonem, podniecany rosnącym wzburzeniem, w którym wyczuwało się gwałtowne pragnienie przekonania przeciwnika.

— Nie zrozumiałeś mnie. Ten lud zbliżył się do stanu niewinności. I żyje w szczęściu. Ale kiedy mówię „niewinność”, ty myślisz „wstecznicstwo”, a ja „zwycięstwo”, „krok wzwyż”. Kiedy zaś mówię o szczęściu, ty się uśmiechasz. A w czymże prawda o człowieku objawiła się wyraźniej niż w tej pełni szczęścia? Chcesz, aby ludzie podejmowali tutaj takie wysiłki jak na Ziemi, aby rozumowali na ziemski sposób, bo nie zdajesz sobie sprawy, że na Kalgarze jesteś świadkiem rozkwitu niespodziewanej równowagi. I że naruszając tę równo-wagę, mógłbyś unicestwić zdobycze, które utwierdzamy od pierwszej chwili pobytu na Klije-nie.

— Utwierdzacie... Na jak długo?

Przez twarz Geilendortha przebiegł ledwie dostrzegalny skurcz: to, co usłyszał, dotknęło go boleśnie. Zrozumiał znaczenie uśmiechu, który wykrzywił na sekundę usta profesora, i

powiedział po prostu:

— Mów.

— Ludzie tutejsi pobierają się wcześniej i mają dużo dzieci. Ludność podwaja się w każdym następnym pokoleniu. A ty umiesz liczyć nie gorzej ode mnie: nim przeminie sto lat, twoi poddani wymrą z głodu. Trzeba pomóc im uciec z tego kawałka korka. Bo wiesz chyba, że ta wyspa unosi się na falach?

— Czy coś jeszcze cię niepokoi?

— Raczej ciekawi. Jeśli Klijena unosi się na wodzie i obraca na osi jak statek tańczący w podmuchach wiatru, dlaczego nie dryfuje? I jeszcze jeden szczegół: kto wybudował Główne Sklepienie, skoro mieszkańcy Klijeny nie są twórcami tego dzieła, przekraczającego zresztą ludzkie możliwości?

— Czy to wszystko?

— Poprzestanę na tym chwilowo. Postawiłem już mnóstwo pytań, ale nawet Czarna Gwiazda nie ma o niczym pojęcia.

Arkant wyprostował się, odchylił na oparcie ławki.

— Czarna Gwiazda wie wszystko.

Przymknął do połowy powieki, patrząc, jak na horyzoncie, poza migotliwym zwierciadłem morza, wstawały rudawe opary.

— Nadchodzą chmurne godziny — powiedział, a potem zwrócił się do nas: — Seburst poruszył sprawy niezwykle poważne. Aby je wytłumaczyć, musiałbym odkryć wam inne, jeszcze poważniejsze fakty...

Przesunął ręką wzdłuż parapetu, co wprawilo zapewne w ruch jakiś mechanizm przesyłający sygnały, bo po chwili zjawił się sługa ze straży przybocznej.

— Idźcie za nim — rzekł Geilendorth. — Podadzą wam posiłek, a potem zechcecie pewnie odpocząć. Przez ten czas zastanowię się, co powinienem wam powiedzieć.

Wstaliśmy z miejsc. Odczuwałem dziwne wzruszenie, bo zdawało mi się, że odkryłem nazwę dla tej cechy Arkanta, która mnie od razu pociągnęła do niego i w moich oczach czyniła go niezwykłym.

To była dobroć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY GRÓD O PODNIEBNYCH WIEŻACH

Posiłek jedliśmy w otoczeniu przygniatającym swą wspaniałością. Okrągła sala przyciemniona mrokiem chmurnych godzin, szerokie okna z witrażem, o który dzwoniły ciężkie krople deszczu, języki ognia tryskające z wnętrza grubych waz z górskiego kryształu, niezliczone potrawy, milcząca służba — wszystko to budziło niepokój i odbierało chęć do rozmowy. Następnie zaprowadzono nas do małych pokoików, gdzie mogliśmy się wyciągnąć na pościeliach. Przyzwyczajenie było już tak silne, że zapadliśmy w sen.

*

Kiedy otworzyłem oczy, chmurne godziny nie minęły jeszcze. Stojący przy mnie strażnik dawał mi znaki, abym szedł za nim. Chciałem obudzić Grinje, ale sługa pokręcił przecząco głową. Ruszyłem za nim i przez mroczne korytarze dotarliśmy do przedsionka sąsiadującego z Karneolową Salą. Jakiś cień krążył tam gorączkowo — był to Hilgor. Kiedy zostaliśmy sami, ujął moje ręce.

— On nas wybrał, Peter!

— Arkant?

— Pójdziemy na drugą stronę gór.

— Po co? I dlaczego właśnie my?

— Przypadliśmy mu do serca. Nic więcej nie wiem.

Otworzyły się drzwi i wszedł Seburst. Potem, w blasku pochodni, wkroczył przez inne Arkant w towarzystwie Hancka.

— Chodźmy — powiedział.

Minęliśmy kilka sal i znaleźliśmy się na znanym już nam górnym podejściu monumentalnych schodów, po czym zeszliśmy w dół po białych stopniach. Na prawo i lewo migotały czerwonym blaskiem olbrzymie witraże zamykające kolosalny hall. Szliśmy prosto przed siebie, w głąb ślepej galerii. Wreszcie otworzyły się jakieś drzwi, oblało nas słabe światło. Usłyszeliśmy w pobliżu chłopot wody i poczuliśmy jej zapach, zanim jeszcze dostrzegliśmy powolny nurt płynący w głębokim skalnym kanale. Czekająca tu nas duża, ozdobna łódź, zaopatrzona w kasztel mieszkalny.

Arkant zajął miejsce na ławce przymocowanej na rufie, my rozsiedliśmy się wzdłuż burt. Czterej młodzieńcy w mundurach straży przybocznej stali na łodzi z długimi żerdziami w rękach. Na znak dany przez Hancka ruszyliśmy w drogę.

Pierwsze chwile wypełniał jedynie półmrok, błyski pochodni, ciężkie oddechy przewoźników walczących z prądem. Potem ściana skalna po lewej stronie zaśniła przyćmionym światłem i ukazał się długi bez końca szereg krystalicznych, wielobocznych kolumn; od czasu do czasu w przerwach między nimi dostrzegaliśmy niebo, morze, kawałek równiny, gdyż Uryks odradzał się już po okresie chmurnych godzin.

Tak więc poznaliśmy teraz odwrotną stronę, wewnątrz owej poziomej bruzdy na zboczu gór, która tak mnie kiedyś fascynowała. Mieliśmy odkryć jej tajemnicę. Arkant, siedząc we władczej pozie, oddawał się rozmyślaniom. Nikt nie przerywał jego milczenia.

Po pewnym czasie droga wodna skręciła pod kątem prostym, a świetlista ściana zgasła za nami całkowicie. Z pewnością przebijaliśmy się w poprzek masywu. Ale wieloboczne kolumny z kryształu górskiego i tutaj zdobiły ściany. Z pochodni spadały na nie garście złotych, szybko gasnących iskiei; ale niekiedy płonęły chwilę jak ogniste krzewy i zmuszały nas do

mrużenia powiek.

Przewoźnicy napierali na żerdzie ruchem, który dzielił równomiernie czas.

*

Przed metalowymi, wpuszczonymi w skałę drzwiami Arkant zatrzymał się dłuższą chwilę, wyjaśniając Hanckowi i Hilgorowi działanie sekretnego zamka. Seburst i ja usunęliśmy się na stronę. Za nami, w znacznej już odległości, przewoźnicy siedli na burtach łodzi, zadyszani po niedawnych wysiłkach. Pośród nieprzeniknionych ciemności krąg światła pochodni zdawał się zamykać ich jak w klatce.

Pod koniec tego ostatniego postoju Seburst nie mógł się powstrzymać i szepnął mi na ucho:

— Ten zamek... Już wiem...

Na razie widziałem w tych słowach jedynie satysfakcję, dziecinną raczej, którą można mu było darować.

*

Kiedy zalało nas światło, byliśmy już po drugiej stronie gór, w zakazanej krainie. Czułem gorączkowe napięcie i trochę lęku, z jakimi Hilgor mówił o niej podczas naszej wyprawy do Zielonych Wrót; dziś jeszcze czuję to samo.

Znaleźliśmy się w głębi rozległej groty i po jej lekko pochyłym dnie poszliśmy w stronę wyjścia. Ale zanim dotarliśmy do niego, Arkant skręcił w korytarz wykuty z lewej strony w ścianie skalnej. Było to tylko przejście prowadzące do czegoś w rodzaju wielkiej łodzi, jakby obserwatorium tchnącego tajemniczym spokojem, gdzie rozrzucone głazy grały rolę foteli. Skała miała wszędzie szary kolor, lśniła jedwabście jak stare srebro. Z tego miejsca odkryliśmy inne oblicze Klijeny.

Łodzie wykuto w stoku góry. Pod nami była reszta wyspy, szeroka dolina, a raczej kocioł górski otoczony błyszczącymi,

znanymi już nam szczytami; jedynie na wprost nas przerwy między nimi pozwalały dojrzeć w oddali skrawki morza. Na płaskim dnie tej niecki wybujała dzungla okrywała ziemię zielonym i rudym kłębowiskiem.

Przede wszystkim jednak przykuwał spojrzenie las niebotycznych wież, przebijających zbity kozuch drzew i splątanych lian, wież smuklejszych, wznoszących się śmieiej niż ziemskie wysokościowce, z których w naszej naiwności byliśmy tak dumni.

Przypominały olbrzymie wrzeciona, kłosa zakończone nadbudówką w kształcie płomieni, gładkie lub rowkowane kolumny, niekiedy wydęte pośrodku, niekiedy zaś, przeciwnie, głęboko w tym miejscu wcięte. Czasami skupiały się po dwie, trzy lub cztery, dźwigając wtedy wspólnie wielki, przezroczysty taras. Ze wszystkich tryskały w niebo giętkie anteny jak snopy sztucznych ogni.

Miasto... Gdyż podział każdej wieży na mnóstwo okrągłych tarcz, ustawionych jedna nad drugą, a każdej tarczy na szereg pomieszczeń o przejrzystych ścianach — nasuwał myśl o domach mieszkalnych.

Ale było to miasto umarłe... Liany atakowały ściany wież. Miejscami ziały w budowlach szczyrby i dziury. Wiatry, deszcze i kurz pozostawiły wszędzie brunatne smugi. Panowała przejmująca cisza.

Na górnych tarasach wiatr wprawiał chwilami w drżenie długie anteny. Chwilami znowu tarcza jednej z wież obracała się wkoło, po czym stawała lub wracała do poprzedniej pozycji, zgrzytając jak chorągiewka na dachu.

— Wiatr — powiedział Arkant.

Usiadł na głazie i wpatrywał się w dolinę. Czuliśmy, że jest wzruszony, a może walczy ze sobą, stojąc jak gdyby u progu symbolicznego zwrotu, który napełniał go wahaniem. Myślę, że wyjaśnienie, jakiego nam udzielił, miało jedynie na celu zyskanie kilku chwil, by móc się opanować.

— Każde piętro stanowiło samodzielny blok, mogący się

obracać wokół centralnej osi, aby zapewnić mieszkańcom odpowiednie nasłonecznienie.

— Kto wybudował to miasto?

Tak obcesowo mógł zapytać jedynie Seburst. Arkant zaczął powoli:

— Zdziwiło cię Główne Sklepienie...

Ale pytanie powróciło, domagało się gwałtownie odpowiedzi:

— Kto?!

Wówczas Geilendorth opowiedział nam, nie spiesząc się, straszliwą historię Klilyeny. Oświadczył, że on i jego towarzysze, po wylądowaniu na Kalgarze, ujrzeli tajemnicze miasto w takim samym stanie, w jakim znajdowało się obecnie.

— Kto je wybudował? Rasa, która rządziła Kalgarem na wiele wieków przed naszym przybyciem. Myśmy ich nazwali Mędrkami. Sebursta, mówiącego stale o postępach nauki, zdumiałby stopień wiedzy, do którego doszły te istoty.

Od dawien dawna Mędracy przewidzieli katastrofę, która miała zniszczyć Kalgar, katastrofę spowodowaną przez „zwariowaną” kometę z systemu Uryksa, noszącą nazwę Ankali. Powinna była otrzeć się o Kalgar albo rozbić na jego powierzchni w ściśle określonym terminie. Przez całe wieki Mędracy poświęcali wszystkie swe siły, aby ich rasa mogła przeżyć kataklizm. Gdyby nie nastąpiło zderzenie, niebezpieczeństwo miało polegać na straszliwym wzroście temperatury przy skrzyżowaniu się obydwu orbit: Kalgar zmieniłby się wtedy w rozżarzony stos. Dla wszelkich form życia ratunek stanowiła jedynie woda.

Rozpoczęto gigantyczne prace. Oderwano od kontynentu olbrzymie masy porowatych skał, wydrążono je, aby się stały jeszcze lżejsze i mogły unosić się na wodzie. Przyholowano cały ten materiał nad głębokie rowy oceaniczne i sieć stalowych kabli przycumowała go do dna, aby nie popłynął z prądem i nie osiadł na mieliznach. A głównie dlatego, aby maszynaria, zbudowana na kolosalną skalę, mogła wciągnąć sztuczne wyspy w głąb, ukryć je

w odpowiedniej chwili i ocalić pod warstwą wody. Kiedy straszliwa kometa Ankali była już blisko, mieszkańcy Kalgaru zeszli do schronów we wnętrzu tych wysp...

Katakлизм okazał się przerażający. Temperatura osiągnęła taki stopień, że wszystkie skały, wszystkie ziemie stopiły się, zeszklify jak polewa naczyń w piecu garncarza. Wody wyparowały częściowo, a pozostałymi wstrząsały tak wściekłe burze, iż podmorskie wyspy, zbyt wątkie schrony ludu Mędrców, oderwały się od kotwic i z kolei zostały zwęglone. Wszystkie... oprócz jednej. Najsolidniej zbudowanej i najgłębiej zanurzonej — Klijeny.

Po długim czasie, kiedy ostygły wody i powietrze, wyspa wypłynęła powoli na powierzchnię. Żar skryształizował jej góry — te, które tutaj widzicie. Ale niżej położone ziemie ocalały.

Geilendorth zamilkł na chwilę, wpatrzony w skupisko wież. Czekałem na dalszy ciąg, chciałem się dowiedzieć, dlaczego miasto nie wróciło do życia. Hanck i Hilgor wydawali się wzruszeni, ale nie okazywali niecierpliwości — znali widocznie w ogólnych zarysach tę opowieść. Seburst jednak nie ukrywał namiętnego zainteresowania. Zapytał znowu:

— W jaki sposób odtworzyłeś tę historię? Czy jakieś dokumenty...

— Nie istnieją żadne dokumenty.

— A więc świadectwa? Skoro ta rasa wymarła...

W spojrzeniu Geilendortha było coś tak przejmującego, że profesor zamilkł; spojrzenie to objęło nas wszystkich, a potem znowu pobiegło w stronę grodu Mędrców. Ta krótka chwila skupienia poprzedzała rewelacyjne wyznanie. Mocno, uroczyście padła odpowiedź stwierdzająca fakt, chociaż przybrała formę zapytania:

— Czy powiedziałem, że ta rasa wymarła?

Nie zrozumiałem na razie. I gdy moi towarzysze milczeli, spytałem wzburzony:

— A więc mieszkańcy Klijeny byliby...

Moja naiwność ubawiła Arkanta.

— Ludność Klijeny to potomstwo moje i moich towarzyszy — powiedział cicho, tłumiąc uśmiech. — Mędrcy nie są ludźmi.

Przy ostatnim zdaniu, a raczej przy ostatnim słowie, jego głos zabrzmiał spiżowym tonem.

Po chwili ciągnął dalej:

— To, co jeszcze opowiem, wyjaśni wam, że budowa fizyczna tych istot nie może mieć nic wspólnego z naszą. Kiedy kometa Ankali musnęła i rozżarzyła Kalgar, zaburzenia atmosferyczne i chemiczne, jakie wskutek tego nastąpiły, pociągnęły za sobą niemal całkowity zanik niezmiernie rzadkiego gazu, gretonu, równie niezbędnego dla organizmu Mędrców, jak tlen dla naszych płuc. Pierwsi spośród nich, którzy wysunęli się po kataklizmie poza obręb schronów, pomarli natychmiast. Wówczas ci, co pozostali, zamknęli się w podziemnych salach, wytwarzając na podstawie wody morskiej elementy potrzebne do życia, a przede wszystkim greton. I żyją tam do dziś, licząc jak my pokolenia, pracując i nie tracąc nadziei...

W mojej pamięci odżył nagle pewien obraz: Weng Ti notujący bez pośpiechu kropki i kreski płynące z odbiornika Niss-3... Wyrwało mi się pytanie:

— Do kogo kierują swoje wezwania? Skoro na Ziemi...

Arkant rzucił szybko okiem na mnie i na Sebursta. Na jego twarzy wyczytałem zdumienie, że wiem coś, o czym profesor nie ma pojęcia. Odpowiedział na tyle zręcznie, aby mnie nie zdradzić:

— Od wieków próbują rozpaczliwie nawiązać kontakt poprzez Kosmos z istotami na wyższym szczeblu rozwoju, które by mogły udzielić im pomocy. Ta mrzonka pomaga im żyć. Ale głównie podtrzymuje ich inna nadzieja, bardziej realna...

Seburst słuchał Arkanta nieuważnie, olśniony nowym mirażem, tak jak przez długie lata olśniewał go Kalgar.

— Mędrcy... Czy ich widziałeś, Geilendorth?

— U stóp jednej z tych wież (nie wskażę ci której) istnieją schody o trzystu stopniach prowadzące pod ziemię. Trzeba przekroczyć kilkoro hermetycznych drzwi, otwieranych i zamykanych w tajemniczy sposób. Dociera się do sali

zaopatrzonej w ekrany, na których ukazują się znaki. Można na nie odpowiadać za pomocą specjalnej klawiatury. Kiedy nauczyliśmy się wzajemnie naszej mowy...

— Ale oni, oni! Jacy oni są?!

Arkant spojrział teraz na Sebursta w zupełnie odmienny sposób. Widać było, że pomimo walki, ponad walką, jaką prowadzili ci dwaj ludzie, powstawała między nimi nić sympatii, że łączyła ich jakaś wspólnota o niezwykłej sile i że zwycięzca wdzięczny był zwyciężonemu za płomień, który ten w sobie zapalił. Rozpoznał ten płomień, zobaczył go we wspomnieniu jako zapał, który wypełniał kiedyś całe ich jestestwo. Toteż łagodny, niemal przyjazny ton, jakim Arkant zwrócił się do Sebursta, był zapewne formą podziękowania.

— Widziałem ich zaledwie kilka razy. Dzieliło nas dziesięć lub piętnaście metrów czystego kryształu, gdyż dwie różne atmosfery, dwa różne promieniowania nie powinny za żadną cenę przenikać się nawzajem... Jacy oni są? Czy ja wiem? Widzi się z nich tylko wibrowanie niezwykłych, lśniących barw, drgania tak szybkie, że stapiają się w błyski światła. Wiem tylko jedno: mają skrzydła, ale nie na sposób ptaków. Nasuwa to raczej myśl o wielkich, przezroczystych skrzydłach, takich mniej więcej jak u łątek. W każdym razie nigdy nie doświadczałem równie silnego wrażenia piękna, jak w ich obecności.

— Błagam cię, Geilendorth! Ja muszę ich zobaczyć!

— To niemożliwe!

— Czy nie można w niczym im pomóc? Żywcem zamurowani! Ale mówiłeś, że czegoś się spodziewają...

Geilendorth gładził dłonią ciepłą od słońca skałę, jakby to była połyskliwa sierść ulubionego zwierzęcia. Podniósł wreszcie głowę i powiedział lekko zdyszonym głosem:

— Ich nadzieja równa się dla nas groźbie śmierci. Poziom ich wiedzy jest, jak już mówiłem, wyższy, niż to możemy sobie wyobrazić. Za pośrednictwem anten niektórych z tych wież pozostają w kontakcie ze światem gwiazd. Tak więc mogli stwierdzić, że kometa Ankali otrze się znowu o Kalgar, zanim

przepadnie ostatecznie w przestrzeni kosmicznej. Ale tym razem, w wyniku łańcucha odwrotnych reakcji chemicznych, nowy kataklizm może im oddać to, co zabrał poprzedni: ilość gretonu wystarczającą, aby wolne powietrze planety nadawało się dla nich do oddychania.

Byłoby to naszą zgubą, gdyż w tej ilości greton stałby się dla ludzi gwałtowną trucizną. Ale nie ma najmniejszej pewności, co właściwie nastąpi. Wiemy tylko, że jedna z dwóch ras, Mędrców albo ludzi, nie zdoła żyć na powierzchni Kalgaru.

Dzień ten nie jest zbyt odległy: nastąpi za kilka lat.

Zamilkł, jakby już nic więcej nie miał do powiedzenia. Zwrócony ku szczybom w łańcuchu górskim, przez które prześwitywało morze, zaczął znów gładzić machinalnie ciepłą skałę. Jednakże po kilku chwilach dodał jeszcze pogodnym tonem:

— Powinniście teraz zrozumieć całą resztę. Kiedy poznałem te sprawy, cóż mogłem zrobić? Ta groźba przekreślała wszystko, cokolwiek mogliśmy byli zdziałać poza obrębem wyspy. W cudownej radości życia wyrosły moje dzieci i wnuki. Czy należało wprawiać w panikę spokojne stadko? Zdecydowałem się ochraniać je, aby żyło w szczęściu do ostatniej chwili. W tym celu został utworzony Zakon Czarnej Gwiazdy. Jego członkowie sprawują trudne posłannictwo: zapoznani od dzieciństwa z częścią prawdy — większą lub mniejszą zależnie od stanowiska w Zakonie — pozbawieni wrodzonej beztroski, nie pozwalają swoim braciom lękać się, a także, w razie potrzeby, i wiedzieć.

Dlatego właśnie — mówię to na intencję Sebursta — moi towarzysze poprosili mnie, abym sam jeden korzystał z pozostałej mocy hipotermorów i kierował, budząc się co jakiś czas, w święta Trzech Księżyców, szczęśliwym bytowaniem naszych Miast. Kiedy nadejdą krytyczne dni, zaprowadzimy lud do jednego z tych olbrzymich schronów, które Mędrcy oddali do naszej dyspozycji we wnętrzu Klijeny. Wyspa pogrąży się na nowo, przebiegnie Ankali, a kiedy żar ostygnie, dowiemy się, której z dwu ras przeznaczenie odda we władanie Kalgar.

Seburst ucieszy się zapewne, gdy powiem, że jeśli my tu zostaniemy, nawiążemy do wiedzy i techniki — nie ziemskiej jednak, lecz Mędrców — i wprowadzimy w życie plan podobny do jego planu, aby zdobyć nowe ziemie, konieczne dla naszej egzystencji.

Zapadła cisza, Arkant miał zamiar wstać, ale Hilgor powstrzymał go wskazując na mnie i powiedział z lekkim uśmiechem:

— Glowe'a zaintrygowała mocno nazwa naszego Zakonu...

Arkant odwrócił się ku mnie i położył rękę na piersi w ten sposób, że zakrył jeden z uchwyty podtrzymujących emblemat w kształcie gwiazdy.

— Co teraz widzisz? — zapytał.

Jak mogłem nie dostrzec tego wcześniej? Ten krążek i ten pojedynczy uchwyt była to przecież kometa ze swoim stylizowanym ogonem złożonym z iskier i promieni...

— Nie potrzebuję ci mówić — ciągnął Geilendorth — że komety rozwijają ogon jedynie w pobliżu słońca. Na pozostałym szlaku swoich orbit pozostają niewidzialne: czarne gwiazdy... Naszą czarną gwiazdą jest Ankali. Wybraliśmy ją na emblemat, traktując to po części jako wyzwanie. Ale także dlatego, aby nie zapominać ani na chwilę o walce, jaką musimy przeciwko niej prowadzić. Jest to kometa o dwu ogonach, gwiazda dwu katastrof: wczorajszej i jutrzejszej. A między nimi koło pokoleń, Życie... Takie są tajemne symbole Zakonu Czarnej Gwiazdy.

Wstał, ruszył w stronę wyjścia z łodzi i odwróciwszy się do nas, dorzucił:

— Chciałbym wam coś jeszcze pokazać. Chodźcie za mną.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY RÓŻOWE MAUZOLEUM

Opierając się na ramieniu Hilgora, Arkant poprowadził nas ku rampie schodzącej w dół po zboczu góry. Seburst, z mocno błyszczącymi oczyma, szedł u mego boku, a Hanck zamykał pochód. Okrążywszy żebro skalne, stanęliśmy przed nowym krajobrazem: zbocza stały półkolem, tworząc rodzaj amfiteatru, leżącego ponad doliną zmarłego miasta. Wznosiła się tu wielka budowla z różowego kamienia, wsparta na podmurówce o stromych ścianach. Droga, którą szliśmy, docierała do stóp budowli; rzucono ją ponad przepaściami jako płaską szosę na szczycie długiego i wysokiego muru.

Z łatwością rozpoznaliśmy w tej budowli sztukę oraz niedoścignioną technikę architektów Głównego Sklepienia i wież zmarłego miasta. Był to idealny stożek, którego przekrój można by wpisać w równoboczny trójkąt; regularna spirala, modelująca jego ściany pozbawione okien, owijała się wokół niego aż do szczytu, gdzie rozkwitały, jak strugi fontanny, koronki kamiennych rzeźb, skupiające się następnie w śmiałą, bodącą niebo iglicę.

I oto nędzne ludzkie kroki obudziły na tej królewskiej drodze niespodziewaną, harmonijną melodię, gdy stopy nasze dotykały wielkich, dźwięczących fliz. Melodia ta była tak doskonała, tak bezbłędna, tak pięknie zestawiona z echami, które budziła wszędzie wśród gór, że zdawać się mogło, iż czekała na nas od wieków, ukryta w głębi kamieni.

Symfonia brzmiała nadal, gdyśmy weszli do środka budowli. Rozlegała się głośniejsze, wibrując wzdłuż pochyłych ścian, cichnąc tylko wtedy, kiedyśmy przystawali.

Wszystko nas tutaj zdumiewało: dźwięki, światło i ulewa

barw, płynąca ze stożkowatej kopuły, ale najbardziej dekoracja wnętrza. Na wygiętych ścianach tłoczyła się platanina płaskorzeźb bez kształtu, bez związku, na pozór bez sensu; były jednak wykonane ze zbyt wielkim staraniem, aby nie kryła się w nich jakaś tajemnica.

Geilendorth wskazał na nie ręką.

— Te znaki wyobrażają pierwotną faunę Kalgaru. Ale żeby je odczytać... Czy wiecie, co to jest anamorfoza?

Pamiętałem o niej jako o rodzaju dziecinnej gry: linie i plamy, beładnie rzucone na kartkę papieru, zamieniały się w obrazek, kiedy się je oglądało przez odpowiednio nastawione soczewki.

— Spójrzcie na ten stożek, na te drzwi...

Środek gmachu zajmowała konstrukcja wysoka na siedem czy osiem metrów, będąca jego dokładną kopią w zmniejszeniu. Był to przejrzysty, bezbarwny stożek, którego wygięcia i nachylenia odpowiadały w odległości dziesiątków metrów wygięciom i nachyleniom wewnętrznych ścian różowej budowli.

Weszliśmy do niego przez niskie drzwiczki i natychmiast przytłoczyła nas magia niesamowitego świata. Ze wszystkich stron otoczyły nas płaskorzeźby, ale teraz kryształowe, specjalnie oszlifowane ściany nadawały im właściwe znaczenie. Wraz z bogactwem barw i wytwornymi konturami, które wystarczyłyby same przez się do wprowadzenia nas w podziw, odkrywaliśmy całe mrowie istot tak różnorodnych, tak dziwnych i pięknych, że do tej chwili nie moglibyśmy nawet wyobrazić ich sobie. Były to obrazy zbyt liczne, zbyt krótkotrwałe, a zwłaszcza zbyt niezwykłe, toteż zatarły się w naszej pamięci. Za każdym razem kiedy usiłuję wywołać je na nowo, we wspomnieniu wraca do mnie tylko mój własny zachwyty.

— Brak gretonu zabił całą tę faunę — tłumaczył Arkant przytłumionym głosem. — Mędracy zgromadzili w olbrzymich schronach po kilka okazów z każdego gatunku, ale upłynęło zbyt wiele czasu, hodowla okazała się za trudna. Większość zwierząt wyginęła.

Wydawał się znużony, a głos jego brzmiał coraz poważniej.

— Czas upływa. Moglibyście bez zmęczenia oglądać godzinami te obrazy, ale obejrzenie wszystkiego jest rzeczą niemożliwą. A zresztą... Nie w tym celu przyprowadziłem was tutaj... Zwłaszcza Sebursta.

Oparł się znowu na ramieniu Hilgora. Wyszliśmy z kryształowego stożka, kierując się ku ścianie budowli. Przed drzwiami o dwu wąskich skrzydłach Arkant zatrzymał się na chwilę i popatrzył w oczy Sebursta. Była to chwila, w której znikła wszelka niechęć, rozwiały się przyczyny sporu. Bezcenna chwila czystego wzruszenia. Geilendorth powiedział wreszcie, zwracając się znowu do profesora:

— Pod płytami posadzki znajduje się tu krypta z różowego kryształu. Śpią w niej nasi towarzysze. Szukałeś ich grobów na cmentarzach Klijeny... Zobacysz je teraz, masz do tego prawo.

*

Schody wygięte łagodnie wzdłuż ściany mauzoleum, krypta o grubych murach z różowego kryształu, dwadzieścia trzy sarkofagi oblane przyćmionym światłem... Przezroczyste wieka pozwalały oglądać leżące postacie, otulone płaszczami z serylażu. Arkant prowadził wolno Sebursta od jednej trumny do drugiej, składał im hołd spojrzeniem, myślą, modlitwą. Wymieniał też nazwiska:

— Lauenburg. Hair. Klara Leckenstein... Czy ich poznajesz?

Seburst, wzruszony, pochylał się długo nad każdą twarzą.

— Tacy byli młodzi! — mówił. A potem: — Poznają ich... — I wreszcie szeptem: — Uśmiechają się...

— Byli szczęśliwi.

— Ich twarze żyją! Powiedziałeś, że śpią, czy tak?

— Śpią snem wiecznym — odrzekł Geilendorth cicho. — Ale żyją w tym, czego dokonali, w tym, że stworzyli Klijenę i uczynili ją szczęśliwą. Czy pojmujesz, że to przynajmniej nie mogło umrzeć?

Zawahał się, jakby tknięty nagłym przypomnieniem, ale po chwili głęboka wewnętrzna pewność rozpogodziła jego twarz.

— I nigdy nie umrze — dorzucił.

Doszliśmy do końca ustawionych rzędem sarkofagów. Dwa ostatnie były puste. Arkant wskazał najbliższy.

— Ten przeznaczam dla siebie. Tak więc spocznie tu dwudziestu dwu ludzi przybyłych z Ziemi, którzy trudzili się, by ustanowić prawa takiego świata, o jakim śnili od dawien dawna. Pozostały, dwudziesty trzeci sarkofag... Myślałem, że jeśli Seburst zdoła się do nas przyłączyć, to miejsce przypadnie jemu. Ale teraz...

Różowe światło zaczęło nasiąkać mrokiem i Arkant postanowił widocznie odłożyć na później dalszy ciąg rozmowy.

— Nadchodzi wieczór — powiedział. — Musimy wracać.

Po wyjściu z mauzoleum Seburst uczeplił się go kurczowo, z płonącymi dziwnie oczy-ma.

— Muszę ich zobaczyć! Mędrców... Powiedz mi tylko, gdzie...

— To niemożliwe.

Dolinę zamarłego miasta ogarniały już ciemności. Podmuchy wieczornego wiatru przeskakiwały z wieży na wieżę, na tarasach wprawiały w drganie długie anteny, gdzieniegdzie wydzierały zgrzytliwe skargi ruchomym, spiętrzoną kręgom.

Symfonia grających fliz towarzyszyła nam aż do wejścia w głąb góry, a miała w sobie majestat chorału. Kiedy droga zaczęła pięć się wzwyż, Arkant, wsparty na ramieniu Hilgora, zwolnił kroku. Posuwał się z trudem, toteż rzucił mi pełne wdzięczności spojrzenie, kiedy wziętem go pod rękę z drugiej strony. U szczytu rampy, gdy mieliśmy już opuścić tonący w mrokach tajemniczy kraj, przystanął i długo się weń wpatrywał. Był z nas wszystkich najwyższy, miał pierś atlety, ale słyszeliśmy, jak ciężko oddycha.

— Stary jestem — powiedział.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY DECYZJA

Powrót nie trwał długo, gdyż płynęliśmy z prądem. Pierwszą połowę nocy spędziliśmy w zamku Arkanta, w tych samych małych izdebkach, gdzie spaliśmy podczas chmurnych godzin.

Obudziła mnie Grinje. Nadszedł czas złotych zórz, kiedy mieliśmy się udać do Geilen-dortha.

Oczekiwał nas na ukwieconym tarasie, siedząc na tym samym miejscu, co poprzedniego dnia. Jednakże fale złotej rzeki sunące nad naszymi głowami, jej błyski i promienne smugi, świetlista jasność nocy stwarzały inną wizję miejsc i ludzi.

Od pierwszych słów Arkanta odgadłem, że nadeszła pora szczerości i ostatecznych decyzji. Przeprosił najpierw moich towarzyszy, że wczorajszego dnia tylko mnie zabrał ze sobą.

— Wystarczy nam jeden świadek. Pozyskałem twoje serce, Peter Glowe, mogę cię zatem prosić, abyś opisał to, co widziałeś. Wiem, że potrafisz to zrobić. Zabrałem także Hilgora, bo z niego właśnie uczynię przyszłego Arkanta. Jestem stary. Zazwyczaj pozwalałem się budzić na kilka tygodni w okresie święta Trzech Księżyców. Tym razem będę pracował, dopóki nie zapadnę w ostatni, wieczysty sen. Zbliżają się wielkie wydarzenia i obaj z Hanckiem musimy przygotować młodego wodza, aby umiał prowadzić ludność Klijeny pośród straszliwych niebezpieczeństw. Jeśli przeżyje katastrofę — jak tego pragnę z całego serca — powinien umieć skierować swój lud na drogę szczęścia, którą wytyczyliśmy przed laty. Wkrótce już przedstawię go wszystkim jako mojego następcę.

Hilgor... Czemu nie było go między nami? Wyobraziłem sobie w tej chwili, że przebywa w którejś z sal zamkowych, sam na sam ze swym niepokojem i skupieniem. Przeżywał wigilię pasowania na rycerza.

Rozległ się znowu głos Geilendortha, pełen serdecznego ciepła:

— Jeśli o was chodzi, Magrini, Weng Ti, Peter Glowe, i wy, Yeno i Grinje, byliśmy szczęśliwi mogąc was gościć na Klijenie.

Każdy z nas domyślił się, o co chodziło... Te słowa były pożegnaniem.

— Chętnie przedłużyłbym naszą znajomość i zatrzymał was tutaj. Ale jesteście przecież dziećmi Ziemi. Waszym zadaniem jest powrócić na ojczystą planetę, przywrócić ją do życia, zasiać na niej ziarna zebrane na Klijenie. W ostatnim dniu święta Trzech Księżyców ruszycie w drogę.

— Ale nasza rakietka... — zaczął Magrini.

Arkant uśmiechnął się.

— Rakietka nie zaginęła. Od chwili waszego przybycia inżynierowie z Zakonu Czarnej Gwiazdy utrzymują pojazd w stanie gotowości do drogi. Plany lotu są od dawna opracowane, możecie je zużytkować. Co do tersoenu, to Mędracy pomogli nam wydobyć go z pewnego łupku, pospolitego na Klijenie. Tym razem wykorzystacie więc napęd i wasz lot potrwa tyle czasu, co nasz, to znaczy około dziesięciu lat. Trzy wieki, które upłynęły od chwili, gdy opuściliście Ziemię, są okresem dostatecznie długim, aby radioaktywność na tej planecie stała się możliwą do zniesienia. A ty... — zwrócił się do Sebursta.

— A ja?

— Początkowo chciałem ci zostawić wolność wyboru. Ale twoja obecność między nami stanowiłaby zbyt wielkie ryzyko. Toteż odlecisz razem z resztą towarzyszy. Ziemia jest obecnie planetą czekającą na swego zdobywcę — ofiarowuję ci ten nowy miraż.

— A gdybym cię poprosił o pozwolenie zostania?

— A gdybyśmy wszyscy o to poprosili? — dorzuciłem; słowa te od dłuższej już chwili cisnęły mi się na usta.

— Nie. Na Kalgarze czekałyby was groźniejsze niebezpieczeństwa niż na Ziemi. Nie należycie do mnie. Jednakże... wasza prośba sprawiła mi wielką przyjemność.

Przedstawimy wasz odlot jako sprawę prostą i nie dającą powodów do smutku: przybyliście, odjeżdżacie, wróćcie znowu... Lud pożegna was owacyjnie. Będziecie mogli przebywać z nim w ciągu tych ostatnich dni, jeśli obiecacie nie budzić słowem ani czynem niczyjego niepokoju. Zgadzasz się, Peter Glowe? Grinje? Magrini?

Kolejno odebrał od nas przysięgę. Nie zapytał tylko profesora.

— Seburst pozostanie w zamku do chwili odlotu. Nie jako więzień, ale jednak pilnowany przez moją straż przyboczną. Spodziewam się, że rozumie powody tego zarządzenia.

Seburst wzruszył ramionami; nie wydawał się urażony. Inne pragnienie opanowało go już całkowicie.

— Takie jest prawo zwyczajcy — powiedział. — Ale posłuchaj, Geilendorth! Mówiłeś ze mną przyjaźnie, niepodobna, abyś mnie nie chciał zrozumieć. Mędracy... Ja muszę ich zobaczyć, wypytać, choćby przez krótką chwilę! Co ci to szkodzi, skoro skazujesz mnie na opuszczenie planety?

Po raz trzeci Arkant powiedział:

— To niemożliwe.

Po czym wyłuszczył cierpliwie powody odmowy. Spotkanie z Mędrcami wymaga długiego okresu przygotowań, gdyż należy sprawdzić drobiazgowo nieprzepuszczalność urządzeń oddzielających dwie atmosfery. Ostatnie spotkanie miało miejsce przed kilku dniami, następne przewidziano w dosyć odległym terminie.

— Poza tym pragnę, abyś poświęcił ten czas na coś innego: abyś się zastanowił uczciwie, czy nie dzielą nas jedynie słowa, czy nie dążymy do podobnych celów. I czy dzięki temu nie istnieje szansa, abyś się do nas przyłączył. Zarzucasz mi, że pozwoliłem memu ludowi trwać w szczęściu...

— Bo w szczęściu nie wolno trwać. Człowiek został stworzony do walki.

— W walce również nie wolno trwać — odpowiedział Arkant spokojnie. — Człowiek po to został stworzony, aby

wznosił się coraz wyżej.

Słuchałem go chciwie. Wydawało mi się, że nadszedł najważniejszy moment naszej przygody, który zakończy drażniącą sprzeczność między naszym rozmiłowaniem w życiu Klijeny a tym wszystkim, co było niewątpliwie słuszne w trzeźwym rozumowaniu Sebursta.

— Wznosić się coraz wyżej... Że osiąga się to najlepiej poprzez walkę i cierpienie, jest prawdą pochodzącą z Ziemi. Nie chciałeś uznać, że specjalna łaska losu pozwoliła Kalgarowi żyć inną prawdą, uwolniła ten lud — jak już mówiłem, na czas ograniczony — od konieczności cierpienia i poznania okrutnej przyszłości, pozwoliła mu wznosić się drogą pozbawioną cierni.

Wiedźcie, że w każdym następnym pokoleniu stawał się większy, silniejszy, skłonniejszy do braterskich uczuć. Wiedźcie, że podczas każdego święta Trzech Księżyców jego wyczyny sportowe ściśle były notowane — postęp okazał się tak znaczny, że pierwszy lepszy nasz młodzieniec ośmieszyłby podczas zawodów wszystkich championów Ziemi.

Rzecz to słuszna i konieczna. Bo jeśli się zdarzy, że ten lud zostanie uwięziony dla przebycia najcięższych prób albo uwolniony dla dokonania olbrzymich podbojów, czekają go takie wysiłki, iż musi być mocny. Trzynaście pokoleń obdarzonych spokojem i możliwością harmonijnego rozwoju — czyż to jest czas stracony?

— Skąd wiesz, czy trzynaście pokoleń walczących nie osiągnęłoby jeszcze lepszych rezultatów?

Arkant śledził przez chwilę korowód złotych zórz na niebie.

— Nie wiem tego — powiedział.

Jakże był godny miłości w tym wyznaniu, o ileż silniejszy, niż gdyby próbował udawać nieomylnego! Zbliżył się do Sebursta i patrząc mu w oczy powiedział na zakończenie:

— Poszedłem za głosem serca. Ostatecznie zło polega zapewne na tym, że ty zapomniałeś, jak ważne są uczucia. Albo może przybyłeś za wcześnie na Klijenę. Uważam, iż powinienesz zastanowić się nad tym, zanim nas opuścisz.

Zwrócił teraz oczy na Miasta.

— Łodzie odbijają od brzegów, wiozą ludzi pod Główne Sklepienie. Każdy wie, że tej nocy zobaczy tam Arkanta.

*

Szliśmy wśród przyjaźnie nastrojonego tłumu, zdumieni, że spoglądamy wokoło z takim samym uczuciem, jak pierwszego dnia. Odbywały się zabawy, śpiewy i tańce, wszystko toczyło się zwykłym trybem. Ale kiedy czas złotych zórz miał się ku końcowi i na scenę wielkiego teatru weszli rycerze Czarnej Gwiazdy na uroczystość pożegnania, zapadła niezwyklego rodzaju cisza.

Zapamiętałem ten obraz: za odsuniętą zasłoną widać głęb sceny; między dwoma rzędami pochodni trzymany w wyciągniętych rękach kroczy z wolna wysoka postać Arkanta, a za nim straż przyboczna. Ma na sobie znany już nam strój, tylko na ramiona zarzucił długi, biały płaszcz, po którym ślizgają się zielonawe i różowe światła pochodni, siejąc złociste skry.

Ze wszystkich piersi wzniosło się wtedy jedno ogromne wołanie. Trzeba raczej powiedzieć: z głębi wszystkich dusz. Był to zapal pełen umiaru, ale i niezwyklej siły, z jakim cały lud powierzał się temu starcowi. Oni go kochali.

Swym pięknym, nieco znużonym głosem Arkant zapowiedział rozpoczęcie święta Trzech Księżyców. Lepiej jeszcze niż Hanck potrafił za pomocą nielicznych słów natchnąć wszystkich pogodą, ufnością, gorącym poczuciem braterstwa. Obiecał, że w ciągu następnych dni pozostanie ze swoim ludem, odwiedzając Miasta i poszczególne domostwa. Wysłucha opowieści o znajomych starcach, którym od ostatniego święta uniesienie burzliwych dni na zawsze zamknęło oczy. Każdy przedstawi mu swoje dzieci, opíše swoje prace...

Arkant umiał także z zupełną prostotą przekazać zebrany decyzję o wyznaczeniu po sobie następcy — człowieka młodego, któremu zamierzał przez pewien czas służyć radą i pomocą. Ale wszyscy powinni przywyknąć do myśli, że jest on najwyższym

wodzem.

Obserwowałem moich sąsiadów. Wydawali się zdziwieni, ale nie okazywali niepokoju; czekali tylko na ciąg dalszy, na imię... Arkant zamilkł i stał nieruchomo, majestatycznie samotny na proscenium. Zdawało się, że umyślnie pozwala rosnąć napięciu.

Odwrócił się nareszcie i zrobił kilka kroków w stronę stojących półkolem rycerzy Czarnej Gwiazdy, wziął za rękę Hilgora i powrócił z nim razem. A potem zdjął swój wielki biały płaszcz i uroczystym, obrzędowym gestem zarzucił go na ramiona przyszłego Arkanta.

Obydwaj byli bardzo piękni. Te same odblaski kładły się na srebrnych i na złotych włosach. Hilgor stał wyprostowany, pełen uniesienia i powagi. Blask jego oczu mówił o nowej, ożywiającej go sile, a także o niezmiernej radości. I może o łzach...

Geilendorth położył mu łagodnie dłoń na ramieniu.

A wtedy tysiące połączonych głosów zagrzmiało niebosiężnym hymnem braterstwa.

ROZDZIAŁ SZESNASTY DZIECKO

Warkot motorów Megi stanowi część mojej istoty jak bicie wiernego serca. Przez dziesięć lat, czekając, aż się obudzę, kołysał moje sny cierpliwie, niedostrzegalnie. Ten głos uspokaja, oznacza, że oto przebyliśmy na nowo kosmiczny szlak.

„Proszę, abyś opisał to, co widziałeś”. Gdyby nawet Geilendorth nie zażądał tego ode mnie, czyżbym mógł się powstrzymać od pisania? Od czterech dni moje pióro biega jak osza-lałe na skutek złośliwych wahań nieważkości. Na piętrzących się przy mnie kartkach moje zniekształcone, powiększone pismo zdaje się wyrażać moją nieudolność. To, co widziałem... A czyż zdarzyło się to naprawdę?

*

Pozostają mi jednak do opisanie ostatnie dni. Przepływały jak spokojna woda. Tak jak-byśmy odnaleźli chłodne zakręty rzeki po długim marszu przez kolczaste zarośla i zapomnieli o pragnieniu, upale i cierniach.

Zamieszkaliśmy znów u Fendola, w cudowny sposób nie zmienieni, tacy sami jak wczorajszego dnia. Z nim i z jego rodziną braliśmy udział w święcie Trzech Księżyców. Jeden z jego synów zwyciężył w zawodach łuczników, drugi odznaczył się w jeździe konnej, a dziewczynka o zielonych oczach była jedną z najbardziej uroczych tancerek.

Inżynierowie z Zakonu Czarnej Gwiazdy ustawili naszą Megę nad brzegiem rzeki, w Dolinie Ośmiu Wodospadów. Co rano spędzaliśmy kilka godzin w ich towarzystwie, przygotowując się do odlotu. Weng Ti wziął na siebie większą część zadania, a ja wyrzucałem sobie często, że tak mało mu pomagam.

Te prace powinny by zamącić nasz dobry nastrój. Ale czar Kalgaru był tak potężny, że po każdym seansie robót przy Medze, magia zapomnienia działała na nowo, równie silna, jak dawniej. Nie dziwiliśmy się nawet, że czujemy się tacy szczęśliwi.

W ten sposób minęło jedenaście dni. Dotrzymując danej obietnicy, Arkant odwiedzał wszystkie dzielnice Miast, wchodził do tego lub owego ogrodu, gdzie napływał natychmiast tłum ludzi z sąsiedztwa. Po uroczym ceremoniale tutejszego powitania następowała przyjazna, pełna miłych słów rozmowa, zakończona serdecznym uśmiechem.

Przy okazji tych spotkań można było zauważyć, jak świetną pamięcią odznaczał się Arkant. Znał prawie wszystkie imiona, kazał sobie opowiadać o dzieciach i pracach każdego z rozmówców. A ponieważ dzięki małżeństwom cała ludność złączona była bliższym lub dalszym pokrewieństwem i pochodziła od niego, starał się odszukać nici związków rodzinnych biegnące poprzez pokolenia.

Kiedy nadchodziły chmurne godziny albo pora zmierzchu, odprowadzano go na brzeg rzeki, gdzie schodził na pokład wspaniałego statku, przybranego przez ludność kwiatami. Następnie barwna flotylla łodzi towarzyszyła mu aż do Arkei przy dźwiękach fletów i cymbałów.

O Seburście nadchodziły niepokojące wieści. Zatrzymany w milczącym zamku, bezustannie przemierzał jego sale, opętany rosnącą obsesją — błagał, aby otwarto przed nim drogę prowadzącą do grodu Mędrców. Hanck, który nam o tym donosił, obawiał się o rozum profesora; uważał, że jedynie nasz rychły odlot może go uratować.

*

Płynęły dni i noce, mijały ostatnie chwile, ostatnie godziny na Kalgarze.

W towarzystwie Magriniego i Wenga Ti udałem się na otoczony zielenią placyk, położony nad platformą startową

naszej Megi. Gęsty szpaler kwitnących drzew osłaniał go z trzech stron i czynił z tego miejsca rozkoszne zacisze. Znajdowały się tu ławki z liedy, ustawione w podkowę wokół fontanny. Grinje i Yena miały się do nas przyłączyć, a także Seburst.

Ku naszemu zdumieniu pierwszy zjawił się Arkant — jego wysoka postać wysunęła się nagle spomiędzy krzewów. Zatrzymał przy sobie jedynie Hilgora i po odprawieniu pozostałej eskorty pozdrowił nas i zasiadł na ławce. Był czymś wyraźnie strapiony.

Dowiedzieliśmy się od niego o szaleństwie Sebursta: tego ranka, w ataku furii, zabił dwu strażników i próbował dotrzeć do podziemnego kanału. Gdy mu się to nie udało, wyłamał okno i wdarł się na śliskie upłazy skalne, z wariackim zamiarem dotarcia do zakazanej doliny. Znalezione jego rozbite ciało u stóp stromej skały. Żył jeszcze, ale był o krok od śmierci. W każdym razie nie mogło być mowy, aby odleciał razem z nami.

Przyjęliśmy w milczeniu tę wiadomość, do głębi wzruszeni.

— Seburst... To była potęga — szepnął wreszcie Magrini.

— Dążył wytrwale do celu — dodał Arkant z powagą. — I wierzył w ten cel. Tacy ludzie, nawet gdy błędzą, godni są szacunku.

Pod nami, na brzegu rzeki, zaczynał gromadzić się lud. Robotnicy zdejmowali z Megi chorągiewki, które nadawały jej wygląd jarmarcznej atrakcji. Weng Ti zapytał:

— Kto zajmie w rakiemie miejsce Sebursta?

— Nikt, oczywiście. Lot odbywa się w sposób prawie automatyczny. Pod względem naukowym jesteście dostatecznie przygotowani, żeby się obejść bez niego.

W tej chwili nadeszła Grinje, potem Yena, a za nimi gromadka dzieci, które dostrzegłszy je, przybiegły natychmiast, domagając się od Grinje nowej opowieści. Dzieciarnię dogonił ze śmiechem nauczyciel, ale przystanął ujrzawszy Arkanta, chciał już zabierać swoje stadko, kiedy Geilendorth powiedział wesoło:

— Nie można wymyślić lepszego spędzenia czasu w ciągu ostatnich minut, prawda, Grinje?

Miał rację. Jakże cieszyły nas te dzieci, ich błyszczące oczy, ich żywość! Zostały i rozsiadły się przy nas na ławkach, a że zabrakło miejsc, niektóre wdrapały się nam bez żenady na kolana. Nie ominęły nikogo, nawet Hilgora, Wenga Ti i Arkanta, który uśmiechał się ciągle i wcale nie wydawał się stary. Zostały, a Grinje opowiedziała im baśń o księciu Engeliardzie i o czarodziejskim źródle, w którym sypiały gwiazdy.

Kiedy skończyła, nauczyciel podziękował jej nieco zmieszany i dał znak swojej gromadce, aby poszła z nim bawić się gdzie indziej. Wszystkie dzieci usłuchały go, chociaż kilkoro opuszczało nas z żalem, przedłużając pożegnanie, pytając jeszcze o to lub owo, aby w końcu dogonić odchodzących towarzyszy. Wszystkie oprócz jednego. Mały, złotowłosy chłopczyk zwinął się w kłębek na kolanach Hilgora i zasnął mocnym snem, zmęczony zapewne zbyt długą zabawą czy bieganiem. W na pół rozchyłonej dłoni trzymał jeszcze orzeszki agraliżu o jedwabistej, beżowobrazowej łupinie, które podniósł z ziemi, bo wydały mu się piękne.

Hilgor nie czynił nic, żeby malca obudzić. Siedział najwidoczniej wzruszony ufnością, z jaką chłopczyk tulił się do jego piersi. Poszedłem za jego wzrokiem i wyczytałem podobne wzruszenie na twarzy Geilendortha. Uświadomiłem sobie wówczas, że ci dwaj ludzie prowadzą od pewnej chwili niemy, dramatyczny dialog. Zamiast słów wymieniali spojrzenia, a w spojrzeniach kryły się myśli bardziej ważkie, niż gdyby je głośno wypowiadali.

Arkant przerwał wreszcie milczenie i zwróciwszy się do Wenga Ti, zapytał sztucznie obojętnym tonem:

— Powiedz mi, w jaki sposób hipotermory Wingleya przystosowują się do organizmu poszczególnych ludzi.

— Regulują się samoczynnie według amplitudy oddechowej śpiącego.

— Niezależnie od jego wzrostu?

— Tak.

— I niezależnie od... wieku?

Z kolei Weng Ti zmieszał się tak, że nie mógł wymówić słowa — zrozumiał, o co chodzi. Odpowiedział na koniec twierdzącym skinieniem głowy.

Arkant odwrócił się znów do Hilgora; podjęli milczący, pełen napięcia dialog.

Odgadywałem ich myśli: Kalgarowi groził kataklizm, który być może nikogo nie zostawi przy życiu. I to dziecko głęboko uśpione... Chłopaczkę o zamkniętych powiekach, którego wystarczy przenieść z jednego snu w drugi, aby stał się jedynym zapewne potomkiem ludu Klijeny, jedynym spadkobiercą jego piękna, słodczy i niewinności. A przecież obrócona w perzynę Ziemia będzie potrzebowała jak słonecznego światła odrobiny piękna, słodczy i niewinności. Ale w zamian to okrutne rozdarcie!...

Twarz i spojrzenie Hilgora były jednym natarczym pytaniem. Usta mu drżały. Geilendorth wytrzymywał odważnie jego spojrzenie, nie uchylał się od odpowiedzi. On, najwyższy sędzia, rozmyślał intensywnie. Czuło się, z jak wielkim bólem.

Wreszcie skinął głową i z jego ust padło krótkie „tak”.

Hilgor opuścił nieco ramiona, a potem, obliczając z niezwykłą ostrożnością każdy ruch, zaczął powoli wstawać z miejsca.

— Grinje — poprosił szeptem — idź obok mnie i opowiadaj znowu tamtą baśń. Może go w ten sposób nie obudzimy...

Ruszyliśmy w drogę. Na czele szedł Arkant z Hanckiem, wydając mu jakieś rozkazy. Za nimi kroczył Hilgor z chłopczykiem w ramionach; przy nim Grinje opowiadała po raz drugi, głosem stłumionym przez łązy, dzieje księcia Engeliarda i źródła, w którym sypiały gwiazdy.

Tak, wyprzedzając mnie, weszli do budynków otaczających platformę startową i zniknęli w ich wnętrzu, żegnani ukłonami strażników z Zakonu Czarnej Gwiazdy.

Ponad nami smukła sylweta Megi zdawała się grozić niebu zapowiedzią zwycięskiego lotu.

*

Pod wypukłą szybą hipotermoru spoczywa dziecię Kalgaru pogrążone w tym samym śnie, w magii tej samej baśni. Dziesięć lat przemknęło nad nim, nie dodając mu ani jednego dnia. Przed chwilą, kiedy podające pokarm automaty zbliżyły się do ust chłopczyka, odnalazł gesty i minki niemowlęcia, po czym wyciągnął ręce, niezgrabnie szukając matki.

Biedaczek! Jakże dosięgnie matki, której mu brak jak serdecznego ciepła? Dzieli go od niej obszar nieba. I zbliża się chwila, kiedy trzeba będzie mu to powiedzieć. Syrop, który właśnie wypił, zawiera czternaście preparatów chemicznych mających ostatecznie go rozbudzić. Trzeba będzie również pokazać mu te ziemie defilujące pod nami; kiedy opuści rajski ogród snu, uderzy go zapewne ich brzydota, ich wrogi, bezlitosny wygląd. Co za okropne przebudzenie!

Na razie jeszcze śpi. Ale za parę godzin spojrzysz nam w oczy, a my nie wiemy nawet, jak mu na imię. Oczywiście, jest potomkiem Geilendortha, a medalion na jego piersi wskazuje, że mieszkał w Arkei. Ale jego rodzina, jego ojciec? Hilgor nic nam nie powiedział. Kiedy go złożył w hipotermorze, natychmiast odszedł... płacząc. Hilgor... Odruch, który skierował do niego chłopczyka, ufny sen malca na jego kolanach, niemy dialog z Arkantem i te łzy dorosłego mężczyzny... Nie daje mi spokoju uporczywa myśl: czy dziecko powie nam, że Hilgor jest jego ojcem?

Grinje stanęła przy mnie i tak jak ja wpatrywała się długo w chłopczyka.

— Słuchaj, ten mały na Ziemi... — zacząłem.

Przerwała mi, kładąc delikatnie dłoń na moim ramieniu.

— Będzie naszym synem — powiedziała.

*

Zebraliśmy się wszyscy w największej kabinie — nadeszły

ostatnie chwile naszej podróży. Wkrótce zacznie się odliczanie; będę musiał się ubrać, przyłączyć do towarzyszy i pochłoną nas prace związane z opadaniem ku Ziemi.

Weng Ti sprawdza godzinę, Magrini siedzi zamyślony, Grinje i Yena udają, że kończą przygotowania. Wszyscy obserwują mnie ukradkiem, śledzą bieg mego pióra albo moje ruchy, kiedy odkładam zapisaną kartkę.

Może mi zazdroszcza, a może litują się nade mną? Bo jestem wybrańcem Arkanta, widziałem dolinę Mędrców, podniebne wieże i stożkowate mauzoleum. Wiedzą, że więcej niż oni cierpię nad opuszczeniem Kalgaru, że nigdy nie potrafię wyrwać tej planety z mego serca, że będę do niej wracać myślą, niezależnie od przyszłych wydarzeń, radości i przygód. Do ostatniego tchnienia będę pamiętał, jak cienie oplatają pnie tamtejszych drzew, jak toczą się po niebie olbrzymie fale złotych zórz. Moje spieczone usta będą tęskniły do chłodnej strugi napoju płynącej z wysokiego dzbana, a w nocy moje sny pogonią za korowodem błyszczących światełek.

Kalgar... Od dłuższego czasu straszliwa Ankali musnęła go śmiertcioną pieczęcią. Jeśli Klijena przetrwała i wypłynęła na powierzchnię wód, promienie Uryksa musiały ją teraz osuszyć na nowo.

Ale z dwóch ras uwięzionych w jej wnętrzu, która obecnie odżyje? Czy Ankali oddała planecie ów greton mogący uwolnić Mędrców i spalić płuca ludzi?

Ustaliliśmy z Hilgorem długość fali i wyznaczyliśmy — według odmian ziemskiego księżyca — dzień naszych kontaktów. Ale Mega wyprzedziła fale. Dopiero za kilka lat, wśród ruin ojczystej planety, dowiemy się może, co zaszło.

Wiek Geilendortha nie pozwolił mu zapewne doczekać kataklizmu. Lubię sobie wyobrazić, że szalejąca burza przyniosła mu chwilę najwyższego uniesienia, nagrodę za to, czego dokonał, za wszystkie jego prace. I że spoczywa wśród towarzyszy, z tym samym, co oni, uśmiechem, w krypcie z różowego kryształu, gdzie śpi pierwsze pokolenie Klijeny.

Czy pochowano tam również Sebursta? A może jakimś cudem wyzdrowiał i okazał się na tyle rozsądny, by oddać swoje zdolności na usługi Hilgora, nowego Arkanta?

Seburst, Geilendorth... Zdawało mi się, że nic ich nie może pogodzić! Ale który miał rację? Uważam dzisiaj, że byłoby zuchwalstwem z mojej strony odpowiadać na to pytanie. Może nie mylił się żaden z nich? Może stanowili elementy tej samej siły, które muszą prowadzić walkę, aby zrodził się z niej wicher pchający naprzód okręty?

Myśli obydwu opanowała gwiazda. Wiedzieli o tym i umieli iść jej śladem. „Dążyli wytrwale do celu”.

A ponieważ i my, podobnie jak oni, mieliśmy szczęście rzucić okiem na to wyśnzione wybrzeże, powinniśmy pozwolić, aby kierowało naszymi krokami. Zwie się ono — Klijena. Błyszczą na obszarze odległej planety, ale istnieje także przed nami, ukryte pod piaskami i namulęm Ziemi. Oczekuje, byśmy wydobyli je na światło dnia.

Nie zdołamy odtworzyć Szkarłatnych Gór ani pory złotych zórz, ani zmienić koloru nieba. Ale przecież to wszystko było jedynie dekoracją. Istota rzeczy kryła się w ludzkich sercach, polegała na słodyczy uśmiechów, na jasności opromieniającej czoła. Taką właśnie Klijenę pragniemy założyć, rozwijać dzień po dniu, aby stała się równie piękna, jak tamta, poznana w przeszłości.

*

Weng Ti uśmiechnął się przepraszająco i wskazał na swój zegarek.

— Już czas, Peter Glowe!

Tak, już czas! Bo przed chwilą w kabinie hipotermorów zrozumiałem, że to, co pozostało nam do zrobienia, jest może najważniejszym z tych zadań, które się wypełnia na świecie: musimy dla dziecka wybudować dom.

SPIS ROZDZIAŁÓW

<i>Rozdział pierwszy</i>	Odłot
<i>Rozdział drugi</i>	Śpiew ptaka
<i>Rozdział trzeci</i>	Powitanie
<i>Rozdział czwarty</i>	Złocista noc
<i>Rozdział piąty</i>	Konna wyprawa
<i>Rozdział szósty</i>	Tajemniczy przekaz
<i>Rozdział siódmy</i>	Cudowny kraj
<i>Rozdział ósmy</i>	Sprzysiężenie
<i>Rozdział dziewiąty</i>	Na spotkanie z Arkantem
<i>Rozdział dziesiąty</i>	Arkant
<i>Rozdział jedenasty</i>	Czarna Gwiazda rozkazuje
<i>Rozdział dwunasty</i>	Na tarasie
<i>Rozdział trzynasty</i>	Gród o podniebnych wieżach
<i>Rozdział czternasty</i>	Różowe mauzoleum
<i>Rozdział piętnasty</i>	Decyzja
<i>Rozdział szesnasty</i>	Dziecko